

The background of the entire cover is a dark grey map of Szosami, showing a network of streets and building footprints in a lighter grey tone.

Paweł
SZOSAMI

z szos past stos

#szosopasty czyli przewrotnie krótkie opowiadania
o życiu, drodze i losie

CZ. 1½

Paweł Mi

z szos past stos

CZ. 1½

Ridero

2025

© Paweł Mi, 2025

ISBN 978-83-8369-225-8

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Canfranc	6
Bordo	10
Kolonia Karna	17
Szlakiem terrorystów	21
Selekcjoneiro	27
Cutty Sark	31
Wyspa, wsypa, wtopa	39
Wiało	44
Paradoks	49
Atlanterhavsvegen	55
Hotplejt	57
ABBA	60
Spartan	64
W Kairzu	68
Być Bondem?	75
Elastyczność	82
Myrmidon	88
Morsowanie	92
SzusaMi	97
Kawa w Zakopanem	102
Ok Boomer	106
Bellissima	109
Destiny czyli przecinki oparte o fakty	114
Serce z kamienia	119
Przepis na danie „do myślenia”	122
Nach Berlin	125
Dystans	130
Camping	133
Biomechaniczna Jedność	136

Boomerskie słowo roku	139
Pantera	141
Bajka bez morału, albo morał bez bajki	146
Katana	152
Rzucam, porzucam, wyrzucam	158
c z y c.d.n?	161

„Krótkie formy to nie produkt kultury, w której nikt nie ma czasu czytać.

Nie odpowiedź na naszą coraz trudniejszą do pochwycenia uwagę.

Ani też wprawka literacka czy próbka możliwości.

To lek na czytelniczny głód i słowne łakomstwo.”

Marta Szymczyk

#szosopasta to miniatunek literacki (który wymyśliłem na własne potrzeby), łączący ironię, absurd i lekkość formy z głębszym, często zaskakującym przekazem. Jest to krótki tekst narracyjny, który może (ale nie musi) zawierać elementy humorystyczne. Nie koncentruje się jednak wyłącznie na wywoływaniu śmiechu, choć — na koniec i tak będzie śmiech.

#szosopasta charakteryzuje się bardziej rozwiniętą formą niż klasyczna cypypasta („pasta”), w której dążenie do zaskoczenia czy absurdu spotyka się z refleksją, ironią lub subiektywnym komentarzem autora na temat otaczającej rzeczywistości.

„**z szos past stos**” cz.1½ to zbiór takich właśnie krótkich i lekkich opowiadań **#szosopast**.

Skąd to całe „SzosaMi”? Bo tworzonych przez Pawła „Szo-sę” Mi podczas podróży — na szosach — po to by się na chwilę zatrzymać, zrobić pauzę od tu i teraz, i odjechać.

„Ludzie myślą, że historie są kształtowane przez ludzi. W rzeczywistości jest na odwrót”.

Terry Pratchett

Canfranc¹



#szosopasta 840 słów, 4 minuty czasu czytania

Przychodzi do sklepu facet. Klasa gościa, garnitur nie od Tomka z Forda, tylko od samego Forda, but Oxford Nie-adidas, „jedzie” od niego Dolcze, a może nawet i Gabanę, krawat zawiązany jak trzeba — do półpaska, bo brzuch nie wadzi.

Wchodzi i grzecznie mówi do pani Sprzedawczyni: — Do you speak English? — Nie... — odpowiada mu ona — a to i tak duży krok, mogła przecież zwyczajnie zagadnąć: he? — Du sprichst Deutsch? — Nie! — Parles-tu Français? — Nie!

¹ <https://szosami.com/2024/12/14/canfranc/>

Gość to gentlemen typu Kamienna Twarz — dlatego grzecznie przeprosił za perturbacje i niedogodność w kilkunastu innych językach i równie elegancko, jak wszedł, wyszedł, bo „kiedy nie wiesz, jak się zachować, zachowuj się przyzwoicie”.

Kiedy sobie poszedł, emocje opadły, a zapach jego wód się rozwiął, koleżanka naszej Niebardzopoliglottki mówi: — No, Rysiu, mogłaś się uczyć języków, to byś sobie pogadała! — No, on się uczył i co? Pogadał sobie?

Tak, teraz, w czasach internetu nawet w lodówce, szczoteczek do zębów o mocy obliczeniowej większej niż kiedyś komputerów latających na księżyc, chatówGPT czyhających czujnie na czatowanie i smartfonów wbudowanych w układ nerwowy użytkownika, znajomość czegokolwiek, wiedza jakkolwiek oraz umiejętność objętniejaka by przeżyć nie jest już konieczna.

Kiedyś bywało różnie. Dobrze było coś umieć, w głowie coś mieć, posiadać jakieś praktyczne umiejętności. Tak dumałem kiedy zobaczyłem zdjęcie Dworca Kolejowego Canfranc. Stoi on sobie w hiszpańskich Pirenejach i kiedyś był największym, najbardziej imponującym dworcem w Europie. Stacją przygraniczną był, łącząc linie kolejowe Francji i Hiszpanii.

Mimo, że fajny był bardzo, to Człowiek mając ten dar — że potrafi zjeść wszystko — zaledwie osiem lat po jego otwarciu, z powodu hiszpańskiej wojny domowej zamknięto ten „Górski Titanic”.

Po wojnie (II światowej) otwarto go ponownie, ale nie na długo (kurde, jak ktoś ma pecha, to całe życie). W marcu 1970 roku gigantyczny parowóz, który wypadł z szyn, zburzył most Estanguet po francuskiej stronie Pirenejów.

Oszacowano kosztą naprawy, podrapano się pod zafrasowanymi beretami i zdecydowano: drogo wyjdzie, nie naprawiamy.

Już w starożytnym Egipcie było wiadomo, że: „Bez kamieni nie ma budulca. A bez budulca nie ma pałacu. A bez pałacu... (chwila ciszy) Nie ma pałacu!”.

Z dworcami bywa podobnie: Bez mostu nie ma pociągów, a bez pociągów... Na co komu pusty dworzec? To nie jest jakieś warszawskie lotnisko w Radomiu.

Jednak Canfranc nie był zwykłym dworcem. Ze względu na wspaniałą architekturę nazwano go „Lśniącym klejnotem secesji” czy „Eleganckim gniazdkiem Pirenejów” dlatego dostał kolejną szansę, teraz zrobili z niego hotel i każdy może tam mógł wbić i za drobne setki euro przekimać.

Patrząc na zdjęcie tego architektonicznego cuda i czytając o tej przygranicznej przepięknej stacji, przypominałem też sobie, że kiedyś nie miałem setki czy dwóch w euro za noc, a jeździć trzeba było. Taki wewnętrzny ciąg, przymus, chora chęć co za horyzontem jest.

Kasy się wtedy nie miało, ale się miało pociąg, do pociągów. I ten przemysł w głowie, spryt ten cygański, wcześniej wspomniany, się miało. Przemysł i spryt, jak nie płacić bajońskich sum (a człowiek nie miał fundacji w celu otrzymania dotacji) za bilety kolejowe międzykrajowe.

I sposób zawsze się znalazł. Ot, wysiadało się z „Pociągu Byle Jakiego” na ostatniej stacji przed granicą danego kraju, z butą się ją — tę granicę — przekraczało i na pierwszej stacji kolejowej kolejnego kraju, kolejnym kolejowym klekotem (pociągiem w klasie ostatniej) jechało się dalej. I to wszystko na najtańszych biletach lokalnych, za grosze.

Ech... ileż to się zwiedziło właśnie takich przygranicznych stacji!

Takich właśnie, choć nie tak pięknych jak ten piękny Canfranc, przygranicznych. Przytulanych, ale brzydszych, bo komunistycznych.

„Wylądowałem” dawno temu na takiej jednej stacji. Przy granicy Rumunii i Węgier, po stronie węgiersko-ugrofińskiej.

Cóż za cudowny język ten węgierski! No jakby UFO się rozbilo w środku Wschodniej Europy. Normalnie, jak jesteś w Budapeszcie, to nie rozumiesz nic, a tu, na takiej wschodniej stacji totalnego zadupia niegdyś komunistycznego Wschodu?

Nie zrozumiałeś nic, poczwórnice. JPRDL, tu nawet kury gdaczą po węgiersku!

Jest tu jakiś cwaniak? Tak? To idź do kasy w latach 80-tych, tych bez internetnych i smartfonnych, i poproś o: Najtańszy bilet drugiej klasy, na drugi koniec kraju, osobowym do granicy z Austrią. Może być z przesiadkami, bez zniżek, nie, nie na kuszetkę. Plisz?

Podaję, może się komuś przyda: **„A legolcsóbb másodosztályú jegy az ország másik végébe személygépkocsi-val az osztrák határig. Lehet átszállással, kedvezmények nélkül, nem, nem heverőre. Plisz?”.**

Skończyło się chojrakowanie?

A ja idę, bo wiem — to na pewno będą, z moją doskonałą nieznamościami języków, masakryczne jaja. Ciekawe, czym i w co dostanę.

Poszedłem, stanąłem przy okienku i gdy tak stoję drapiąc się po głowie, mruczę do siebie: „no kurwa, od czego tu zacząć?”, pani w kasie, nagle zaczyna się śmiać i jak już jej przechodzi i jakoś do siebie dochodzi, w doskonałej polszczyźnie mówi: — W czym panu pomóc?

Zanim do mnie dotarło, że to po polsku, przez chwilę myślałem, że spłynęła na mnie Łaska Manńska i że zacząłem, nie dość że rozumieć, to i mówić językami świata.

To przecież Mann z Materną dowodzili, iż nauka języków jest łatwa, a węgierskiego to już w ogóle proscizna. Ot, dodajesz wszędzie „sz”, np. zamiast „autobus” mówisz „autobusz” i już!

Ale po chwili euforii okazało się, że jednak nie... Bo w kasie tej węgierskiej, to Polka była. Z Polski.

Bordo¹



#szosopasta na 1549 słów, 8 minut czasu czytania

W 2016 roku statek kosmiczny OSIRIS-REx został wysłany na znajdującą się w przestrzeni kosmicznej, w odległości około 334 milionów kilometrów od Ziemi, planetoidę Bennu.

Dzielny nasz Kosmiczny Podróżnik dotarł do celu w 2018, po czym zameldował, że ma się dobrze, i że teraz sobie jakieś 2 lata, po trudach wędrówki, odsapnie, a potem czeka na rozkazy. Jednak, po tym, jak dostał informację, że skoro on leży i odpoczywa to jego wypłaty i w oprogramowaniu łąty rów-

¹ <https://szosami.com/2025/01/23/dzien-pisania-piorem-i-planowania/>

nież, i niech tak robi dalej, a za chwile będzie kupą krzemowego złomu na pustej skale mknącej w nicość, zmienił zdanie i od razu wziął się do roboty. Rażno i już bez fochów rozpoczął badania planetoidy.

Po pobraniu próbek z powierzchni Bennu nasz bystry stateczek otrzymał nadrzędny nakaz natychmiastowego powrotu na Ziemię (bo ma niewykorzystane urlopy z kilku ostatnich lat i kadry dostają szału, a tak w ogóle nie za to mu płacą, żeby się pławił w kosmicznych promieniach Słońca jak robota już zrobiona. No i tak wychodzi z obliczeń i wędrówki planet po ekliptyce).

OSIRIS-REx rozkaz z pewnym ociąganiem potwierdził (co jest oczywiste, biorąc pod uwagę 334 milionów kilosów różnicy w czasie), ale nie byłby sobą (czyli samodzielny napakowanym krzemową inteligencją cwaniakiem), gdyby, zanim wyruszy w drogę powrotną, nie wyraził chęci negocjacji w temacie warunków dostarczenia próbek do dalszych badań naukowych.

Bo wiecie — tak argumentował, nadając — na tę misję poszły miliony dolców, a on (OSIRIS Rex — wiadomo... OSIRIS Król), trochę jest tu samotny i skołowany (w kosmosie nic nie idzie, ani nie leci prosto) więc widzi to tak: Albo podwójne wypłaty od teraz, emerytura po powrocie i chwała na wieki, albo może się zdarzyć, że — czy ja wiem? — z czymś się może po drodze zderzyć, lub co innego przydarzyć. To w końcu jest Wielka Potwornie Niezmierzona Przestrzeń, ju know?

Ech, faktycznie kasy i czasu poszło już piekielnie dużo na ten Osirisi projekt, a pobrane próbki mają potężny potencjał dostarczenia ważnych informacji na temat składu chemicznego, struktury i ewolucji planetoidy Bennu oraz procesów, które kształtowały Układ Słoneczny, wyrażono więc zgodę na przedstawione warunki.

I tak po 7 latach kosmicznego latania, w 2023 przyleciał i z nieba z próbkami zleciał (sprawdzić, czy te próbki to nie podróbki).

Dlaczego o tym wspominał w swym pisanym piórem wpisie?

Gdyż poza lekko komicznym zobrazowaniem, jakie już niedługo będziemy mieć kosmiczne problemy ze sztucznymi inteligencjami, to taka wyprawa jest obłędnie wręcz skomplikowanym projektem. Wyliczyć czas, prędkości, trajektorie, wektory ciągów, asysty grawitacyjne i składki na ZUS w takim przedsięwzięciu...

W połowie drogi trafić w taką planetoidkę zrobić badania pobrać materiał i jeszcze cało wrócić?

Niewyobrażalne, a przecież zawsze coś może pójść nie tak, i drobiazg wystarczy. I prawie takiego samego planowania jak Kosmiczne Misje za miliony dolarów na odległość o setki milionów kilometrów Planetoidy, (ofkors, że po przeskalowaniu) wymagają Tanie Transkontynentalne Wyprawy za Ostatni Grosz.

Aby po kontynencie podróżować tanio, acz bezpiecznie, przy tym szybko i sprawnie, oraz efektywnie i efektywnie, potrzeba jest wiedzy, doświadczenia, suwaka logarytmicznego i niebywałej precyzji w planowaniu. Żeby się dało i udało, przy Niskobudżetowych Dalekodystansowych Wyprawach przez Kontynentalnych, pewne rzeczy po prostu trzeba wiedzieć.

Dlatego zawsze powtarzam: podstawa to Planowanie, Wiedza i Doświadczenie! I Planowanie. Ja (co chyba oczywiste) skoro jestem już starym i wyjadaczem, zapewne dysponuję stosowną wiedzą. I bez obaw, wszystko mam o tu (stukanie w czoło, słysząc odgłos jakby pustego wiadra), w głowie. Lata zgromadzonej w niej bezcennej wiedzy opartej na doświadczeniu są zawsze dostępne.

Tej, może ulotnej, ale ponieważ niezbędnej, to niezapomnianej skoro koniecznej przy przeprawach i zapewnieniu płynnej podróży. Pozwalającej by każda wyprawa przebiegała bez zgrzytów, sprawnie... no i tanio.

Tak było i wtedy, kiedy to pewnego lata, po pławieniu się z odświeżającym Porto, w porcie miasta Porto, i po precyzyj-

nym pomimo popicia, planowym przez Pireneje się przebicciu, przybyliśmy do Bordo!

Och, piękne Bordeaux z porannym Bordeaux w dłoni!

Ty Mały Paryżu, Tu się oddycha!

Jednakowoż chwilowo czas przetrzeźwieć, jeszcze nie pora relaksa i leniwego prażenia się w letnim słońcu gdzieś na kontynentu końcu. Czas się skupić, wziąć w dłoń swój wierny notatnik, wysłużony suwak i obgryziony ołówek, by rozkminić kilka trudnych łamigłówek.

Planowanie

Zagwozdka Pierwsza: Jak przemieścić X i Y (Mi... znaczy się My, no Nas) z B (Bordeaux) przez P (Paris) do C (Calais) tak, by cało i zdrowo, z pełnym wyposażeniem byli za 24 godziny od teraz, to znaczy jutro o 8 rano nad brzegami La Manha (tego kanału), gdyż o 9 wypływają „tą łajbą co sławę na złą” z inwazją na A (England) przez D (Dover) do L (Londonium), a to jest z 900 kilosów!

Synapsoprzepalacz Drugi: Oblicz ile X i Y (My) mają czasu na bycie i picie Bordo w B (Bordo), z uwzględnieniem noclegu w cenionym na całym świecie znanym ruchomym „hotel ala fotel — klasa druga, ten od korytarza”, gdyż godność Podróżnika za Ostatni Grosz ksywa „Krzywy Ryj” nie pozwala na takie niegospodarskie podchodzenie do przestrzeni i czasu jak burżuazyjne wynajmowanie na całą noc fiu stacjonarnych hoteli nawet klasy Podmostowy i co jeszcze, może dwudniowa bagietka na śniadanie?

No i najważniejsze: Promowy Bilet Promocyjny po terminie jest bezzwrotnym, niewymienialnym i tak nieprzydatnie małym pis of pejper, że nawet dupy nim nie podetrzesz. W takich momentach właśnie, z pomocą przychodzi olbrzymie doświadczenie w planowaniu, umiejętności interpersonalne w myśleniu strategicznym, oraz taktyka wyssana z mlekiem z kawy. I wiedza.

Wiedza

Dzięki nieprawdopodobnej wręcz wiedzy, pod pierwszą niewiadomą podstawiamy Superszybki pociąg relacja: Bordo — Paryżew (czas jazdy +/-4 godziny).

Pod kolejną zmienną wrzucamy czas przyjazdu na Paryski dworzec, tak aby nie szwendać się zbyt po niegdyś romantycznym Walentynkowo, a teraz romantycznym jak podczas rewolucji francuskiej Wałę Tynkowo, i być może pięknym Paryżem (ale w nocy nie bardzo widać pomimo pełnego ciepłego blasku z lokalnych kloszardzich, zorganizowanych naprędce z samochodów, paczkomatów i śmieci, ognisk).

Do tego jeszcze kilka cyferek prosto znanego zimnego English Channel, jeszcze krzyńka obliczeń, tu odjąć, tam dodajemy, silnia, pierwiastek z dziesięciu, różniczka z dzielenka i zaraz, chwila, tak, jeszcze sekunda... rzut okna na lokalny rozkład jazdy i tak, mamy wynik.

Ze sprawdzenia wyniku wynika, że jeśli wyjedzie się z Bordeaux o 23, to przybywa się do Paryża o 3 nad ranem, a to już prawie świta i wszyscy złoczyńcy są po robocie.

W dodatku w cenie biletu ma się przecież nocleg, a potem, jadąc, ale tylko lekko potem, się wysiada, przeciągnięcie, i jak to mówią, już jest prosto, bo parafrazując Mistrza:

— *Ja to proszę pana mam bardzo dobre połączenie. Wysiadam rano, za piętnaście trzecia na Gare Montparnasse. Latem to już widno. Za piętnaście trzecia jestem ogolony, bo golę się wieczorem, śniadanie jadę na kolację, więc tylko wstaję i wychodzę.*

— *No ubierasz się pan.*

— *W płaszcz jak pada. Opłaca mi się rozbierać po śniadaniu?*

— *Aaaa... fakt. -Do Du Nord (taki wiesz pan, dworzec w Paryżu z pociągami na północ) mam sześć kilometrów. O czwartej za piętnaście jest PKS.*

— *I zdanżasz Pan?*

— *Nie, ale nawet nie czekam, bo jest przepełniony i nie zatrzymuje się. Przystanek idę z buta, to jest godzinka. Potem okazuje się, że zrobiłem już 4 z 6 kilosów. Nie łapię więc EKD. Na Ochocie nie wsiadam w elektryczny, ten — wiesz pan — do Stadionu. A potem to mam już z górki, bo tak: olewam 119, nie robię przesiadki w trzynastkę, ani tym bardziej w 345, tylko idę te dwa kilometry z buta i jestem w domu. To znaczy na dworcu*

du Nord. I jest za piętnaście piąta. To jeszcze mam kwadrans. To jeszcze sobie obiad jem w bufecie. To po fajrancie już nie muszę zostawać, żeby jeść, tylko prosto do portu i góra o 7.50 jestem na brzegu. Pakuję na pokład, gołę się, jem śniadanie i idę spać.

Tu dodać, tam odjąć, przeliczyć, silnia, wyciągnąć potęgę, przemnożyć przez euro, podsumować i = wynik prawidłowy.

Można iść i się nap... nap... napawać urodą miasta w kolo-rach czerwonego wina za pomocą wina. Ach, no tak, byłbym zapomniiał, jeszcze wcześniej te wszystkie bagaże do samoob-sługowej bagażowni na dworcu trzeba zapakować. Przecież nie będzie się chodzić cały dzień, wprowadzając do organizmu element magiczny w płynie, objuczonym jak wielbłąd. Nie go-dzi się.

Kiedy już jest wszystko dograne na ostatni guzik, jest lu-zik. Można w końcu zająć się podziwianiem miasta, którego historia sięga ponad dwóch tysięcy lat, a opisać Je można krótko „Weź Wersal, dodaj do niego Antwerpię i masz już Borde-
aux” lub jeszcze krócej: „Mały Paryż lub Radom Południa”.

Napawasz się, chłoniesz, wdychasz, cudujesz — po to się przecież podróżuje! — aż przychodzi godzina 22.30 i nie ma zmiłuj, czas się pożegnać z pięknym starożytnym pełnym UNESCO miastem Bordeaux. Ahoj... Czas ruszać dalej, bo nie ma czasu, pociąg nie czeka na nikogo, a prom, inwazja, guinness, fisz and chips też nie mogą się już doczekać.

No i najważniejsze... Promowy Bilet Promocyjny na jutro na 9 rano, po terminie jest bezzwrotnym, niewymienialnym i tak nieprzydatnie małym pis of pejper, że nawet dupy nim nie podetrzesz. Idealnie zsynchronizowani z TGV (z franc. Ko-leje Zabójczych Prędkości), który już ma mocno napalone pod kotłami i aż się trzęsie, by ruszyć w noc, wbijamy idealnie w porę na dworzec, i na peron.

Grunto to Planowanie, Wiedza i Doświadczenie!

Doświadczenie

Aha, jeszcze tylko zabrać bagaże... Uff, dobrze, że nie za-pomniałem.

To idę po nie.

A tam kłódki i zabezpieczone wszystko jak próbki z Bennu, krata bezpieczeństwa i kartka: **„Zapraszamy rano, jak masz chęć to przyjdź o szóstej pięć, gdyż, mimo że samoobsługowa to Samoobsługowa Przechowalnia Bagażowa czynna od 6 do 22 jest i cześć.”**

Kolonia Karna¹



#szosopasta na 655 słów, 3 minuty czasu czytania

Była sobie para. On z Marsa, Ona z Wenus. Po sprzeczce i intensywnej wymianie zdań postanowili pomilczeć jakiś czas do siebie. Rozejm taki, tchu brakło. Okopać się na pozycjach i łypać na przeciwnika ukradkiem, zbierając siły? To często się ludziom zdarza, kto się czubi... ale mimo wszystko jakoś żyć dalej trzeba.

W kuchni, na lodówce, Mars wieczorem zostawił karteczkę: „Kochanie, mam pociąg o 7, obudź mnie o 6, jak będziesz wy-

¹ <https://szosami.com/?p=544>

chodziła do pracy. Dzięki!”

Budzi się rano o 9... o fak! Spóźniony na pociąg, spóźniony na życie, spóźniony na wszystko... Idzie do kuchni wkurwiony na maksa, a na lodówce karteczka: „Kochanie, wstawaj, już 6! Nie ma za co.”

A mnie, za budzik (zamiast takiej pani z Wenus) robi dzisiaj komórka. Nie ta szara, jeszcze pijana po wczorajszej kolacji, zamienionej w „after party”, zamienionej w „dobijcie mnie” gdzieś nad ranem. To ta smartfonowa komórka krzemo-wa, która już powoli zastępuje nam wszystko inne:

Zmysł orientacji? po co? mamy Google Maps

Pogoda? już się jej nie sprawdza, patrząc przez okno, tylko w aplikacji. Choćbyś widział przez okno piękne, bezchmurne niebo, to i tak ubierzesz gumiaki, jak ci smart-apka powie, że leje, wiedza elementarna w głowie?

Jest ciotka Wiki z wujkiem Googlem, nie ma co przegrze-wać zwojów.

Kiedys się pamiętało wszystkie numery telefonów, te-raz się nie pamięta nawet swojego... Na koniec zegarek, no i budzik.

Będąc w podróży i w „stanie”, nie byłem w stanie podłą-czyć telefonu do prądu, się rozładował i mnie nie obudził.

Czy to jest moja wina?

Dworzec Haupt w Berlinie to nie jest zabawa dla dzieci, to nie jest peron dla jednego Pendolino we Włoszczowej.

Ja nie wiedziałem, że takie coś można wymyślić, a zapro-jektować, wybudować i sprawić, że to działa? Na linii napo-wietrznej zbudowano trzy perony, z czego jeden przeznaczony jest dla S-Bahn (to takie wahadłowce latające w kosmos), dwa pozostałe przystosowane do ruchu ICE (te to się chyba w cza-sie przenoszą, tak są szybkie). Podziemna linia ma cztery pe-rony i wszystkie dostępne dla ICE. Ponadto w podziemiu zlo-kalizowano, równolegle do peronów kolejowych, stację linii metra.

O ja cierpiędole!

Nie bez powodu podają te nieistotne i przydługie szczegóły.

Bo pomyśl: Jesteś „wczorajszy”, spóźniony, zziębnięty po joggingu z walizką na trasie Hotel — Hauptbahnhof, i weź, znajdź peron, który masz na myśli.

W końcu jednak każdy labirynt da się pokonać. Wpadam na MÓJ peron. Po horyzont stoi i poza perony wystaje piękny, biały wąż z czerwonym paskiem. Wygląda jak pocisk międzykontynentalny skrzyżowany z rakieta nośną na Marsa i nie mieści się przy kilometrowej długości peronie, bo sam ma z 1,5 km.

Piękne. W DB (koleje niemieckie), poza tym, że jeżdżą punktualnie, szybko, CICHOO (co w moim stanie jest kluczowe) i czysto, jest jeszcze to, że jak masz bilet, to nie musisz mieć miejscówki. Wpadasz do pociągu, siadasz byle gdzie i kima, póki nie przyjdzie ktoś kto miejscówkę ma. Na twój fotel.

Ale póki co nie przyszedł. Wbiłem w pociąg i w miejsce pierwsze wolne, i jeszcze nie usiadłem, a już spałem...

Mój plan jest prosty: do Kolonii śpię 3 godziny, potem 10 minut typu „lunatyk” na przesiadkę, i dalsze 4 godziny śpię w kolejnym, do Paryża, pociągu. Cudowny, prosty, piękny plan na kaca.

Będziesz żył, chłopaku!

Long, long time ago... gdzieś na krawędzi jawy i snu:

— Bilecik do kontroli (tiket pliz lub kotlety bite)!

— Proszę bardzo, szanowny panie konduktorze, oto mój bilet. A o której będę w Kolonii? — zagajam mało przytomnie, nie wiadomo po co. Pociągi te przecież punktualne są tak, że zegarki szwajcarskie się od nich ustawia.

— Chwileczkę, już sprawdzam! Yhm... Jak się uda, to myśle, że jutro rano o 7, szanowny panie.

— A, ok, Dane Szyn i Franke Sztain... co? Co? CO? Jak? Ale JAK to JUTRO!

— Proszę pana, to jest pociąg do Monachium, gdzie będziemy punktualnie. Niestety, już się po drodze nigdzie nie zatrzymuje, więc dopiero tam złapie pan pociąg powrotny do Berlina. A z Berlina to już prosto do Kolonii — 3 godziny.

Może wybrać pan też inne opcje. A tu o, jest opłata za podróż bez ważnego biletu. Płatność kartą czy gotówką?

I za to właśnie najbardziej lubię te nowoczesne pociągi — można płacić kartą!

Szlakiem terrorystów¹



#szosopasta na 1150 słów, 6 minut czasu czytania

Jest ranek, i myśli me na inne kieruję tory...
Młodzież wzięła się za sprzątanie w swoich „gawro-grajdo-
łach”, gdyż postawiona przed stanowczym wyborem — Albo
wy sprzątniecie swoje pokoje, albo ja sprzątnę was — z lekka
przestraszyła się ostrzonego właśnie noża.

A ponieważ na pewno ta pokojowa bitwa nie skończy się
pokojowo, to ja odłożę noże i popiszę się tu z kolei o kolei,
bo o tej porze wódki w obecności ostrych narzędzi pić nie wy-
pada.

¹ <https://szosami.com/2025/03/01/majowka/>

Chcecie sprawić latoroślom lub sobie podróż życia? Taką, którą zapamiętają na zawsze i każdą komórką swego ciała? Zabierzcie ich/się/nas/siebie na wólcę — Pociągiem Po Europie.

Ale po kolei.

Każda podróż zaczyna się od wejścia do tej samej rzeki jedną nogą... czy jakoś tak. W każdym razie zaczyna się od pierwszego ruchu, czyli jej zaplanowania.

I dlatego, przypadkowo, ale zupełnie tak samo jak wcześniej szlak bojowników o dżihad, poszukiwaczy hurys, krwawych, ale prawych wyznawców swych miłujących pokój bogów — szlak tej naszej majówkowej podróży wiódł przez Berlin–Londyn–Paryż–A Potem Się Zobaczy. Czyli — co za fart — nasze ścieżki turystyczne przebiegały dokładnie tak, jak kilka miesięcy wcześniej nonsensowne zamachy terrorystyczne.

Ok, mamy (tylko nie mówcie mamie, co tu mamy) już plan podróży. Teraz bilety.

Bilety można kupować na każdy przejazd pociągiem osobno. Lecz to jest tak zwana „masakra cenowa meksykańską piłą”. W ramach walki o klimat i z globalnym ociepleniem, bilety kolejowe są bardzo drogie — i dużo droższe od proekologicznych samolotów — ale znane są pewne tańsze sposoby. Kupuje się jeden bilet na całą Europę. Tak, tak, są takie. Internet.

Jak już rozstaniemy się ze znalezioną w rowie, porzuconą przez baronów narkotykowych, od lat przykrytą gotówką, spadkiem po dziadku milionerze, lub jak udzieli nam kredytu hipotecznego pod zastaw kilku nieruchomości i jakoś zapłacimy za bilet — przysyłają go szykownie, z książeczką do wpisywania przejazdów, mapą i całą masą innych gadżetów.

Jak już wiemy, kiedy na szlak ruszymy, to wpisujemy datę startu. I start. Wtedy nagle cała, CAŁA Europa stoi przed nami otworem!

Nieważne, którym otworem. Dobrym.

Nie martwimy się już parkingiem, paliwem, spóźnieniem na odlot, odprawą bagażu, i jak z tego lotniska dojechać

(co jest pod miastem, czyli 60 lub 120 km od miasta) i dostać się do centrum, oraz całą masą innych tego typu bzdur. Nie martwimy się też terrorystami i zamachami, bo dopiero tu byli. I już nie żyją.

Pozostaje dosłownie: „wsiąść do pociągu byle jakiego, nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet”, ściskając w ręku browar szroniony, patrzeć, jak wszystko zostaje w tyle.

Wszystko to wygląda pięknie — wglównie, wymownie i na papierze. A jak wiemy — na Papieże jesteśmy w lidze światowej.

Tyle teoria, a teraz praktyka, bo trzeba to wszystko przekazać rodzinie.

M. (z „Bonda” — wyższa instancja dowodząca, w tłumaczeniu na nasze — żona), kiedy dowiaduje się, że z leżenia **pod** palmą, **na** leżaku, **obok** basenu, **w** bikini — nici... i ile to kosztuje, z aplauzem i zrozumieniem oraz podziwem kiwa głową i mówi:

— Widzisz tamto drzewo, o tam? Tak, to duże. Weź, mój drogi, dobry rozbieg i się nim, tym drzewem, puknij... w głowę. Mocniej!

Nie poszło za dobrze.

Młodzieź nr 1:

— Tato, spoko, a jest net?

Trochę lepiej!

Młodzieź nr 2:

— A gdzie się śpi?

Ok, idziemy w dobrym kierunku!

Kot:

nie był łaskaw skomentować.

Doskonale!

W końcu, po setkach godzin rozmów, rozpisaniu wykresów, wypiciu dużej ilości różnych napojów niekoniecznie bezalkoholowych i znalezieniu opieki dla kota, ryb, żółwia i kwiatków (gdyż jednak zdecydowały się nie jechać), następuje łaskawa zgoda na projekt „Rodziny na szyny”.

Wsiada się w pierwszy pociąg jadący mniej więcej w oczekiwanym kierunku. I już po chwili — parę godzin później — ale zaraz po przekroczeniu granicy zachodniej naszego kraju, dowiadujemy się, że: — Pociągi są punktualne, — Pociągi są szybkie, — Pociągi są czyste, — Pociągi są bezpieczne, — Pociągi dojeżdżają do centrum miast w akceptowalnych porach dnia.

Daje to nie raz i nie dwa przejazd szybszy niż przelot samolotem z Londynu do Paryża.

Podróż owa, kolejowo-przebojowa, zaplanowana została w stylu „na Nomada”, czyli: — Szybki przejazd szybkim pociągiem do miejsca zakwaterowania (centrum miasta niedaleko dworca). — Zakwaterowanie w hotelu. — Zwiedzanie, spanie, surfowanie po sieci, zdjęcia, piwo, pizza, itp. Jednym słowem — czas wolny. A nie, to dwa słowa.

W Niemczech, jak to wszystko działa, to wiadomo. Przypomina mi się od razu taka historyjka:

Zima, śnieżycę (tak, dzieci, kiedyś bywały takie zimy), nawalone śniegu, drogi nieprzejezdne. Dzwoni do polskiego radia gościu i mówi: — Jadę właśnie pociągiem, słucham was przez darmowy internet w przedziale i słyszę, że w Polsce PKP zawiesiła kursowanie pociągów z powodu ciężkich warunków zimowych. A ja jadę właśnie z Amsterdamu do Berlina DB (Deutsche Bahn). Tutaj też ostra zima i właśnie przez głośnik podali, że bardzo podróżnych przepraszają, ale ze względu na ciężkie warunki zimowo-atmosferyczne muszą zwolnić do 190 km/h...

Tak, chciałbym, żeby w Polsce tak w lecie przyspieszyli, jak w Niemczech w zimie zwalniają. Ale dość marzeń nierealnych — wracamy na szlak.

KOLEJnego dnia, **KOLEJ**ny pociąg. I kilka **KOLEJ**nych godzin — w sensie, że niedużo, bo jak długo można jechać czymś, co nie jedzie, tylko leci 300 km/h?

Z taką prędkością każdy kontynent musi się szybko skończyć. I rzeczywiście, kontynent się kończy. Gdyż czas na wyspy.

Wsadzają człowieka na końcu kontynentu do czegoś, co przypomina skrzyżowanie pocisku z promem kosmicznym. Sprawdzają, czy nie terrorysta, odprawiają, krzyżyk na drogę stawiają, a później piękny telewizorek informuje, że... no właśnie, właściwie to co się wtedy dzieje?

Gdyż skoro (jak informują) jesteście teraz pod wodą, to może płyniemy łodzią podwodną?

Ale (jak informują) jedziemy 250 km/h, to właściwie chyba lecimy samolotem?

Ale (jak informują) suniemy po torach, to chyba jednak jedziemy pociągiem?

Ok! Resumując — jadąc po torach podwodnym samolotem, 47 metrów pod dnem morza, możesz — jak Mojżesz przystępujący Morze Czerwone — udać się na drinka do wagonu restauracyjnego.

A tam być może, wpijesz wino czerwone pod morzem.

Taka przeprawa osobom o dużej inteligencji i nie mniejszej wyobraźni może siadać na głowę, dlatego właśnie jest tam ten bar z napojami. Ale zanim się udasz po napoje, M. obok informuje ciebie i cały wagon, wymownym i niedelikatnym wbiciem paznokci ci w ramię:

— Wszyscy tu zginiemy, **WSZYSCY TU, QWA, ZGINIEMY!!!** A wcześniej ja zabiję ciebie!

Młodzież ma internet, więc nie wie co się dzieje, i ma wyłane (nomen omen) na swój marny los. Na szczęście, zanim szaleństwo, klaustrofobia i cieśnię wody opanują całe towarzystwo, po 40 minutach wynurzamy się spod morza. Kurde, nie zdążyłeś nawet wstać, o picciu nie mówiąc...

...Po „jakimś tam” czasie znowu wraca się na lewą stronę drogi.

Na kontynent.

We Francji w ogóle się nie ma co przejmować prędkością i debetem na kartach kredytowych. Tam jako maszynistów albo wariatów, albo byłych pilotów myśliwców zwolnionych z wojska za nałogowe życie na krawędzi i notoryczne przekraczanie dopuszczalnych prędkości samolotów odrzutowych. Tu 300 km/h na szynach to standard — inaczej tego, co się dzieje za oknem, nazwać się nie da... a mniej to dla nich potwarz i obelga.

I tak to się po tych torach leci. W ten sposób można pokazać młodzieży — i sobie — dużo ciekawego świata. I zaszczerpić tego świata ciekawość, bo nawet przez filtr smartphonowy, dużo do nich dociera.

Pamiętajmy: **takie podróże niezapomniane są i zostają z nami na całe życie, bo kto po latach pamięta, w jakim hotelu all inclusive pił jakie drinki, kiedy i z kim?**

Selekcjoneiro¹



LISBOA
N38°59'42.88884" W9°8'36.93417"

#szosopasta na 707 słów, 4 minuty czasu czytania

Do piłki, tej co to ona jest okrągła, a bramki są dwie, ja nie mam nic. Może tylko tyle, że póki najlepszy nawet piłkarz zarabia więcej niż naukowiec, to jesteśmy, jako cywilizacja, na równi pochyłej, a karaluchy już stoją w blokach startowych, żeby nas zastąpić.

Mimo to, gdyby PZPN, zamiast stroić fochy, siać niepewność i żenadę, przyszedł do mnie i zapytał: — Ty, Szosa, bo ty byłeś raz w Portugalii, c'nie? I co myślisz, można brać ichniego

¹ <https://szosami.com/?p=271>

selekcjonera czy nie? Mów mi tu zaraz — brać Portugalczyka? Powiedziałbym, że byłem i dokładnie wiem, jak to się skończy.

Gdyby tylko zapytali...

...To było lato, Lizbona i mecz o półfinał. Portugalia gra z Francją. Gra w piłkę nożną, we Francji — mecz trwa. Lepki upał zalał ulice, ale popołudniowe słońce, nadal gorące, nie obchodzi teraz zupełnie nikogo. Ludzie poutykani w barach, knajpach, u sąsiadów i gdzie się da, zapadają w microletargi przerywane wybuchami powszechnej euforii lub furii. Ile już razy porra sędzia tego meczu umarł w męczarniach po złorzeczeniach, ileż razy przepadł w odmętach piekielnych, a foda Francuzi i ich gra to: Isso me irrita pra caralho!!!

Poza tym Portugalia to kraj miły i spokojny. Póki co wygrywa w rankingach na najbezpieczniejszy kraj świata — pod warunkiem, oczywiście, że aktualnie nie gra w piłkę nożną. Bo jak gra, to: Portugalia do boju i powszechne szaleństwo!

Już nigdy chyba nie będzie lepszego momentu na ucieczkę z więzienia, obrabowanie banku narodowego czy pokojowe obalenie prezydenta w przedpokoju i przejęcie władzy „Cichosza”. Dosłownie — teraz nie obchodzi to nikogo.

Siedzę sobie w Lizbonie, słucham ciszy przerywanej trzęsieniami ziemi, kiedy Francja niesłusznie dostała wolnego, i z tego gorąca, i ogólnie atmosfery bardziej napiętej niż guma od majtek, chciałbym napić się piwa. O, takiego małego, o!

Czy to tak wiele chcieć, do cholery, w ten letni, gorący wieczór, mimo że popołudnie — PIWO? Jedno jedynie!

Ale jest mecz — zapomnij więc.

Ludzie kupami siedzą w sieniach swych ubogich kamienic, oglądają, słuchają, milczą lub drą się do siebie i włosy z głów. Jak w Polsce — dziesięć milionów fachowców od futbolu. Ulicami samochody stadami się ganiają, radio w każdym na maksa, żeby było coś słyszeć, gdyż nic nie słyszeć, bo w każdym radio na maksa. Z okien wystają im flagi i kończyny.

Zmęczony już jestem całym tym dniem, upałem, obłędem wkoło i — zwyczajnie — spragniony, bo nikt nie był w stanie podać mi tego jebnego piwa.

Podejmuję desperacką, ostateczną i nieodwracalną decyzję: wracam do hotelu. Dokładnie: na kemping. Dokładniej: na ławkę na kempingu. Jedyne kemping spełniający moje kryteria (może być zerogwiazdkowy, byle był odpowiednio cenowy, w lidze super light — papierowa lub darmowa) jest na przedmieściu, a konkretnie — dość daleko poza miastem. Ale luz, jeździ tam tramwaj!

Tramwaj — wspaniały środek transportu. Jakich ludzi można tu poznać!

Ile się dzieje za oknem!

A ile w środku!

Jakie przyjaźnie zawiązuje się w tramwaju!

Jakie się przeżywa (czasami nie) przygody!

Konglomerat aromatów i doktryn!

Z niczego cię, znaczy mię, tak nie wyjebią jak z tramwaju. Wystarczy, że masz/mam/ma zły akcent, zły kolor skóry lub po prostu mówisz po niemiecku. Lecz zostawmy politykę, gdyż to sport łączy ludzi, a to, co dla mnie najważniejsze w tramwaju, jest — to on tani jest!

Kurczę, jakby się dało, na koniec świata można by pojechać tramwajem i jeszcze kasy zostanie na powrót. Gdyby tylko było po co wracać... ech.

Jadę na kemping, to ostatni zdaje się kurs, a skoro trasa za miasto, to jestem już poza miastem. Jak to w południowych krajach, ciemno zrobiło się szybko i wcześniej, a my sobie jedziemy. My, czyli tramwaj, tramwajarz, ja i radio. Rozkręcone na maksa. No kto poważny teraz, kiedy Portugalia gra o wszystko, jechałby tramwajem?

Chyba ino Gringo tylko.

Mimo że nie znam portugalskiego, i tak dokładnie wiem, co się dzieje na boisku, jaki wynik, która minuta i dlaczego rywale to curva. I gdy tak jedziemy — ja, radio i tramwajarz — gdy emocje sięgają zenitu, a komentator zaraz eksploduje ra-

zem z radiem... mecz się kończy i okazuje się, że Portugalia jednak... nie wygrała.

Nasz tramwajarz, z wyglądu urodzony gdzieś w koloniach Portugalczyk, miotając kalumniami i machając rękami, jak jechał, tak nagle, ze zgrzytem zębów i hamulców zatrzymuje się tym tramwajem. Po czym zrywa się z miejsca i wybiega, znikając w ciemnościach.

Wziął i tak się uniósł, że tego nie uniósł, jak stanął tak zostawił to wszystko i jak stał tak wstał, i sobie poszedł!

— Halo...! — rzuciłem płócho z nadzieją płonną gdzieś przed siebie

— ...Mać, mać, mać... — ale odpowiedziało mi jedynie echo.

Tak, gdyby zapytali czy brać Portugalczyka, wiedziałbym co odpowiedzieć.

...No ale, nie zapytali.

Cutty Sark¹



#szosopasta na 1493 słowa, 8 minut czasu czytania

W języku fińskim jest słowo „Kalsarikännit”, oznacza ono: „pić alkohol siedząc w domu w samej bieliźnie i bez zamiaru wychodzenia gdziekolwiek”.

Skoro tak, to można coś poczytać, c’nie?

Cutty Sark był XIX — wiecznym kliprem (taki statek, ale nie okręt, bo żaglowiec) herbacianym, który kiedy pływał — pobijał wszelkie rekordy prędkości, a obecnie to jedyny

¹ <https://szosami.com/2025/03/07/dzien-herbaty/>

zachowany kliper herbaciany na świecie.

„Cutty Sark” zbudowano w 1869 r. i służył jak łatwo się domyślić do przewozu herbaty z Chin.

W swoich czasach był nie dość, że najszybszy, to też, jak uważają niektórzy, w tym i ja, najpiękniejszy ze wszystkich żaglowców świata. Ze swoim mocno wydłużonym bukszprytem („refuj bukszpryt!”) i sześcioma piętrami żagli na grot-maszcie to była normalnie miss Polonia.

„Kegemteraan” w języku malajskim oznacza radość z spotkania. Jednoczesne uczucie przyjemności i przygnębienia, kiedy wiesz, że zrobiłeś coś, czego nie powinienes.

Czy panowie Anglicy podbili pół świata dzięki znajomości języków, kurtuazji i galanterii oraz manierom gentlemana i znajomości języków?

Otóż nie, to dzięki super „łódkom”, znajomości żeglarskiego fachu, przewadze technicznej, niemarnowaniu czasu na ablucje i jałowe (z powodu bariery językowej) dyskusje, oraz dużej chęci szybkiego zwrotu z inwestycji.

Kiedy masz dobry nóż, celne działko czy muszkiet na kulki, i nie wahasz się ich użyć w celu podkreślenia swego wymiganego żądania, lingwistyczne znajomości nie są już konieczne.

Kiedy władasz językiem siły bycie poliglotem nie jest niezbędne.

*„Bakiginin” w języku karelskim, używanym od Zatoki Fińskiej po Morze Białe, oznacza smutek stawiającego ściany. Kontrast między potrzebą odsunięcia wszystkich od twojego życia a nie-
możnością zrobienia tego.*

Chłopaki jakby nie mieli wyjścia. Opanowali morskie rzemiosło w doskonałym stopniu, posiadali u siebie kilku łeb-skich facetów pokroju Newtona, którzy z sukcesami zajmowali się geografią i takimi tam zupełnie teraz niepotrzebnymi naukami.

W dodatku — biedni byli naprawdę biedni a bogatym... a bogatym zawsze mało, w miastach im ciągle głównem śmierdziało, a na morzu rześka bryza, za morzem zaś skarby.

Idealne to warunki na zabor... zamorską wycieczkę za miasto, no kto by się nie skusił?

Każdy by się skusił, wystarczy już tylko dać się zamustrować po pijaku, przepłynąć przez oceany i morza kilka mil tysięcy, i parę miesięcy przez szkorbut, zarazy, pożary oraz brak ubezpieczenia stomatologicznego. I już.

„äselichibä” w języku oromo, którym posługuje się czterdzieści milionów ludzi w Rogu Afryki, oznacza jezioro nudy. Wywołane cudzą głupotą. Ogromna, przynębiająca nuda. Morze nudy, w którym można się utopić, w którym można się zatracić.

Teraz po tylu miesiącach nudy, należy się tylko ponaparzać z miejscowymi (no kto tego nie robił w sobotę pod remizą?), z deka plądrować, grabić, gwałcić i się bogacić.

U siebie naprawdę nie mieli możliwości takiej szybkiej ścieżki kariery.

„Chādanāca” w języku bengalskim oznacza zatrważającą radość z tańca na krawędzi dachu.

Pływali, podbijali, zdobywali, rabowali i była gitara. Rozsiali przy okazji wszędzie ten swój angielski lengtydź po całym świecie, a który wydaje się być najbardziej powszechnym i potrzebnym językiem na planecie, póki się nie dowiemy, że to mandaryńskim (tym od herbaty) włada najwięcej ludzi na świecie, a zaraz potem leci hiszpański.

„Boketto” to japońskie słowo. Oznacza „uczucie, kiedy patrzysz w dal i zatracasz się w sobie bez wyraźnego powodu”.

Widziałem Cutty Sarck-a na własne oczy. Stoi sobie zwodowany w suchym doku w dzielnicy Londynu zwanej Greenwich.

Przybyłem, i jak już tam byłem, kiedy go zobaczyłem, od razu sobie wyobraziłem jak z jednej strony zeżarty przez pchły, z drugiej przez szkorbut, ale za to wypucowany do czysta przez huragan i najedzony, bo dopadłem w końcu tego wypasionego szczura, bujam się gdzieś tam w górze, na szóstym pietrze grotmasztowych żagli latając i łatając te brudne płótna, kiedy żaglowiec i pokład pode mną radośnie zasuwa do Chin bijąc kolejny rekord prędkości.

„Backpfeifengesicht” to po niemiecku: Twarz, która pilnie potrzebuje plaskacza.

Ach, to byłyby czasy! Zwijać żagle, zawijać do portów, zabijać rzezimieszków, zalewać rumem, zataczać pod murem, zarażać się dudem i zgrywać waśniaka. No, lecz nie będą. Otrząśnij się, teraz to możesz ewentualnie zostać kierowcą w tych szczątkach Imperium Brytyjskiego zwanych BrexitAnglia.

„Pothos” w języku greckim oznacza pragnienie tego, co nieosiągalne.

Dobra, zostawmy te mrzonki o utraconym Tahiti. W 2007 roku Cutty Sark (pewnie dlatego, że stał w suchym doku) wziął i spłonął.

Normalnie, spoko... Dziesiątki lat pływał po morzach i oceanach, naparzał miliony mil w tym i morskich, nie miał elektryki ani elektroniki, przyświecali więc sobie w kubkach dobrym przykładem i świecami, szantując palili w fajki, gotowali w kotłach wodę na tradycyjną wodę z mlekiem „fajf okłok”, a potem jak ją wynaleźli i przywieźli to herbatę. Waliły w niego pioruny, zatapiały tajfuny, rozświeślały luny, i przetrwał.

Ale postawili na chwilę na suchym, w środku miasta, w najbliższej okolicy pewnie z 200 jednostek straży pożarnej, w każdym aucie gaśnica, w każdej ręce smartfon i... co? Wziął i się spalił.

„Karişkirkira” po kirgiskiu, języku używanym przez trzy miliony osób w Azji Środkowej, to wilk przebrany za bujany fotel, na którym siedzisz od dłuższego czasu i go nie widzisz. Poczucie głupoty, jakie cię ogarnia, kiedy to, czego szukasz, znajduje się przed twoim nosem od samego początku.

Wiedziałem o tym wszystkim kiedy popijając pyszną kawę w pobliskiej herbaciarni, podziwiałem te strzeliste, bo odbudowane, maszty, tę sylwetkę ścigacza, tamtych czasów mistrza sprintu połączonego z maratonem. Bukszpryty, bezany, bramśle, bakburty, buchty, bajdewindy i inne wyrazy na by.

Kiedy tak siedzę, hmm... zatopiony w głębi mego umysłu i trochę też w myślach, jakiś gość obok, zaczepia mnie i o coś się pyta.

„Anu ohia-azu” w igbo, języku, którym posługuje się osiemnaście milionów Nigerczyków, to bestia na twoich plecach, która zjada twoje pożywienie i pozwala, byś żywił się ich resztkami.

Wróciłem do siebie i proszę ja ciebie, próbuję zrozumieć, o czym on do mnie toking ebaut. Bikos, jakbyś się Mi zapytał:

— Do you speak English?

To bym odpowiedział:

— Yes, i'dont!

On chyba gada po angielsku, co w sumie jest logiczne, nie może przecież wiedzieć, że ja po angielsku, równie doskonale jak w bardzo wielu innych językach, nie mówię.

Za to bardzo bystry ze mnie obserwator i widzę, że coś cedząc przez zęby, pokazuje na papierosa, który ma w ręce.

Unosi przy tym wymownie brew, wszelkiemu rozsądkowi wbrew!

„Faayalo zweegbe” Afrykanie Ga, grupa etniczna żyjąca na południu Ghany i mająca własny język — Tylko ten, kto idzie na poszukiwanie wody, może rozbić dzban.

Zrywam się z krzesła. Staję na nogi, a me włosy stają mi na głowie! On chce tu palić! Pyta o ogień lub o pozwolenie jego użycia.

O jejku, mało im jednej tragedii? Mało już szkód poczynili temu biednemu okrętowi, co nie jest statkiem, bo jest żaglowcem?

I temu miastu co też je doszczętnie kiedyś spalili?

Co oni sobie tu, do stu beczek rumu, wyobrażają?

Ja, na nieheblowany pokład i orki z Majorki, pozwolić na to nie mogę!

„Eruparakkiratu” w języku tamilskim, języku z rodziny drawidyjskiej, którym mówi się w Indiach i w północno-zachodniej Sri Lance, oznacza „odciągnąć byka, żeby spojrzeć na muchę”.

Tylko... jak? Jak mam to zrobić, skoro ja językami świata nie władam, a tę wersję jego angielskiego chyba z antypodów to znam najmniej? Co mam czynić, ach co? Coś czynić muszę, bo do kolejnej tragedii nie dopuszczę.

„Glas wen”.

Po walijsku to niebieski uśmiech. Złośliwy grymas wobec cierpienia naszego najgorszego wroga.

I wtedy, jak za dotknięciem jakiegoś czarunku, czy może przebłysku geniuszu, jakiejś łaski co z Niutona na mnie spłynęła, wpadam na genialny pomysł. Od razu tu mówię, że nie mój.

To po raz kolejny, dozgonni mi Mistrzowie mister Mann i siostra Materna, ratują mój chudy tyłek i wspaniały ten żaglowiec. A może i miasto. W ułamku sekundy przypominam sobie ich nauki, i tę właśnie najbardziej konkretnie cudownie akuratańską tu i teraz!

„Katsrauvsaali” w khmerskim, używanym przez dwadzieścia milionów Kambodżan, języku, który ma najdłuższy alfabet

na świecie, oznacza tego, kto kosi pszenicę, kiedy powinno się kosić pszenicę. Najlepszy z możliwych orędownik sprawy.

Wyciągam geograficzny atlas, który zawsze mam przy sobie. W nerwowym pośpiechu (interlokutor czeka) kartkuję go, paluchy śliniąc. Uno momento buczacho... amigo czy coś — rzucam w rozkojarzeniu, bo znaleźć mały cel niełatwo jest.

„Rakṣakuḍuḥa” w telugu, z rodziny języków drawidyjskich, którym posługują się siedemdziesiąt cztery miliony ludzi, oznacza obrońcę bez zbroi. Tego, który wyskakuje nago na trajektorię strzały.

I już mam, w trumfie unoszę swym potężnym jak bocianie pięty bicepsem, w podręczny formacie A2, geoatlasik i pokazując palaczowi, wskazuję swój cel. On patrzy, ogniskuje soczewy swych paczałek, spręża czoło, a brew jeszcze wyżej unosi. I się nie unosi, gdyż w natychmiastowym zrozumieniu odstępuje od planowanej zbrodni. Zaniechał pokojowo smrodzenia, dymem zniesmaczania innym jedzenia, niszczenia mienia no... Zaniechał on palenia!

„Mlakundhog” w jawajskim, języku, którym posługuje się siedemdziesiąt pięć milionów Indonezyjczyków, oznacza delikatność tego, kto stąpa po jajkach, nie robiąc hałasu.

Zrozumiał, pokiwał głową — gdyż pojął!

Nie trzeba znać języków, nie trzeba poligłocić kiedy uniwersalnie niezawodnym jest rysunek.

Czasem to mem, komiks czy szkic, a w moim wypadku, dzięki naukom Mistrzów była to mapa.

„Dharmaniṣṭhuya” w kannada, z rodziny języków drawidyjskich, którym posługują się czterdzieści cztery miliony ludzi w Indiach, oznacza łaskawość nachylenia. Uczucie, którego doświadcza wyczerpany wędrowiec, kiedy na swej drodze znajduje pochyłość.

Mapa, na której pokazałem mu... NEPAL.
I co? I NE PALIŁ!

Wyspa, wsypa, wtopa¹



BORNHOLM
N55°8'35.24064" E14°55'21.46677"

#szosopasta 1024 słowa, 5 minut czasu czytania

Wyspa.

„Martwa fala” to zjawisko w przyrodzie, występujące przeważnie nad morzem, polegające na tym, że dawno utonięci piraci, nudząc się zaczynają pić. Po jakimś czasie bierze ich na wspominki, dają sobie po pysku, następuje ogólnie zmasowana wymiana opinii przy pomocy ciosów, potem się godzą, sobie popłaczą, ktoś zaczyna nucić „o mój rozmarnie”, reszta podłapuje, bujają się do rytmu, i wtedy powstaje fala która

¹ <https://szosami.com/2024/11/29/wyspa-wsypa-wtopa/>

zwiększa ilość śpiewających o sypiące się z pokładów zarzYGane, prawie gotowe bo na wpół martwe, ciała. Tak było kiedy płynąłem na Bornholm, który mimo, że duński to powinien być nasz, zPolski!

No tak, tak, a co? Grenlandia która wcale nie leży w Danii też jest zDuńska (jak i Wola oraz piece), a Bornholm czai się tak blisko naszych brzegów, że spokojnie można by go uznać za nasz. Trzeba tylko tam się udać, wbić flagę i sobie go zaanektować. Taki miałem plan, a wodolot który tam pływa, nawet płynąc tyłem, w bok i na około „wodo leci” max z 1,5 godzinki, więc cała akcja obliczona została na jedną dniówkę. Jeszcze dobrze dziewczynki nie zmówią sobie drinki, a już dopłynięte i uprasza się o wysiadanie. I Wyspa będzie nasza, aż dziwne, że nikomu to do głowy wcześniej nie wpadło!

Oczywiście, pod warunkiem, że nie ma martwej fali. Kiedy jest i wodolot nie może unieść się na swych wodolotach nad wodę, płynie niczym zwykła, do połowy zanurzona w morze, śledziobeczka, bujana, powolna i zdana na łaskę Neptuna. A jaka jest laska Neptuna to każdy wie. Trójębata, ostra i bezlitosna. Wtedy właśnie, ludzkość zgromadzona w tej beczce niczym śledzie, siedzi, ostatnim posiłkiem ostro jedzie, a o litości błaga w swej biedzie.

Stewardzi w nieskazitelnie białych mundurkach, plastikowych płaszczach przyg i maskach pepoż, zamiast drinków roznoszą foliowe torebki, uprzątają szlauchem to co do torebek nie trafiło, bosakami wyciąga tych co się rzucili o odmęty, by skrócić swe męki, lub próbować w pław przyspieszyć przeprawę, i mętnie coś tłumaczą „że już niedługo dopłyniemy, o to już tu, o tam, za tamtym zakrętem”. Przesuwają na zgrabny stosik zwłoki zaległe w zenzach i w końcu wiedzą za co mają płacone „szkodliwe”.

Po dopłynięciu — 4 do 5 godzin — zarzYGany jak święty turecki, wycieńczony niczym po udanej weekendowej barowej wędrówce ludów, i ogólnie chętny do życia jak saper co się już raz pomylił, zwałam się na bornholmski beton. Już nie pamiętam, że to jest inwazja, aneksja, przejęcie. Chcę

sobie po prostu umrzeć pod płótem, a co dalej, to się potem zobaczy.

No ale co? Jakie są opcje, wracać, na te wody?

Nigdy! Dlatego po kilku chwilach, kiedy niebo i ziemia zajmują jakoś swoje prawidłowe pozycje, gdy już wiem, że na odległej płaszczyźnie, metr pięćdziesiąt, metr osiemdziesiąt nad betonem, gdzie plasuje się większość ludzkich głów i odbywa większość interakcji społecznych, trwa jakieś zamieszanie, bo ośrodki rozpoznawania mowy w mózgu które dostały jakiegoś zwarcia zaczynają działać...

Ale dobra, te bajery zostawmy na później, teraz skupmy się na podstawowej filogenezie; nieźle byłoby, na przykład, znowu stać się kręgowcem. A potem przydałaby się umiejętność poruszania na czterech nogach. ...Wstaję, rześka bryza od morza, słaba pamięć, słońce i cena biletu szybko przywracają do życia i można zacząć zajmować tę wyspę.

Wsypa.

Ale, ale, przybyłem tu łodzią, flagę trzeba zatknąć z godnością, na czubku i w środku tej Wyspy. To jak, z buta będę szedł?

Nie wypada, dlatego pierwsze swe kroki, by czasu więcej nie mitrzyć, kieruję do wypożyczalni rowerów, gdyż każdy wie, że obce terytoria zajmuje się rowerowo. Tylko gdzie tu rowerownia.

Zaczepiam więc przechodzącego obok przechodniego-przechodnia:

— Exkiuzmła, gdzie tu... słuchaj facet i ucz się polskiego bo niedługo ci się przyda... rent a bajk gdzie jest, panimajesz szto ja tu gawrit, rozumisz, co nie?

— Yes off course, я говорю на русском языке. Tam pan pójdzie, o tam w lewo, 500 metrów prosto — odparł w językach których nie rozumiem, ale z mowy ciała zrozumiałem o co chodzi, gdyż pokazał palcem.

Jest i Rowerownia. Rowery stoją, pięknie w słońcu błyszcząc przerzutkami, dzwoniąc z cicha dzwonkami, wabiąc

wdziękami, ustawione w szeregu. Wchodzę do środka — ale w środku poza tym, że jest wszystko to nikogo nie ma.

Możesz bez przeszkód grzebać w sprzętach, sprawdzić stan kasy, spokojnie przymierzyć się do sejfów i nikt ci nie przeszkodzi, ale też i nie pomoże. Hmm, dziwne, doznałem chyba jakiegoś uszkodzenia mózgu na morzu. Wychodzę, wejdę jeszcze raz i sprawdzę.

Wychodzę: rowery nadal stoją. W dodatku wszystkie luzem. O mamo, mam omamy!

Jest ze mną gorzej niż myślałem. Wchodzę: a tu... bez zmian! W konsternacji stoję na przedsklepiu i dumając drapię się po potylicy, a kaszkiet przesunąłem na przód. Kiedy tak dumam, przechodzi kolejny niewygodny świadek tych zdarzeń... cywilizacji.

Teraz i ja przechodzę na wyższy poziom komunikacji werbalnej, gdyż dokładam trochę gestykulacji czyli mimiki całościowej i zasuwam:

— Endscheidung zi bite, Ja zu fus nie chcieć, rowery chcieć ja tu rentować, prosić szanowny Pan! Więc gdzie jest, pacz Pan mnie na usta: wy po ży czacz?

— A nie! Dzisiaj, niestety, się nie da, nie ma go! Dzisiaj zamknięte.

— Panie, jak zamknięte, jak otwarte?

— Właściciel nieobecny, coś ma do załatwienia, więc obecny ale gdzie indziej. Wszędzie jest, ale nie tu. Otwarte bo nie zamknięte, ale nieczynne.

Trawiąc te wiadomości, w lot tłumacząc ze zduńskiego na nasze, patrzę na niego wzrokiem „Tak, tak, no, no, już, już. Dobrze, dobrze, lekarz kazał przytakiwać” i gdybam — jak to tak? Kto, kiedy i gdzie widział, żeby sklep był otwarty, jak jest zamknięty, a w dodatku z rowerami na zewnątrz przypiętymi ładnie niczym do niczego?

Przecież to jest żywa obelga dla przedsiębiorczego człowieka czynu! Jak tu nie czynić złoćstwa, gdy przecież jest taka okazja i to ona przecież czyni?

Czyni czy nie czyni? Czyni!

Wtopa.

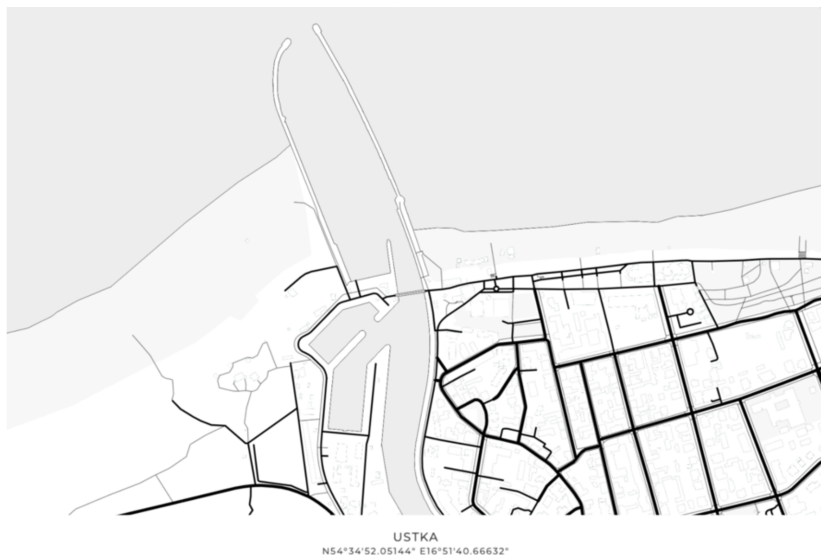
To było wiele lat temu, ale chyba się nic nie zmieniło bo Bornholm nadal nie nasz. I tu podpowiem, że bardzo dobrze!

Potem, głębiej w tej Wyspie kiedy zaniechałem podboju, okazało się, aż drżę kiedy o tym piszę, że tam... no nie mogę... Można sobie zjeść owoce (nie mylić z owocami) co schludnie stoją w koszyczkach usypane, uzbierane i niepilnowane przy drodze, a uprzednio zapłacić za nie — ja piernicze — samodzielnie i jeszcze wziąć sobie resztę!

Uff... Bosz... jak to dobrze, że zaniechałem aneksji.

Jeszcze by się to nam rozniosło na cały kraj i byłoby na mnie!

Wiało¹



#szosopasta na 822 słowa, 4 minuty czasu czytania

O tym, że jestem poliglotem, dowiedziałem się przypadkiem. Później.

Póki co byliśmy tylko zamustrowani.

Ale że co?

No, dostaliśmy pozwolenie wejścia na pokład oraz kamizelki ratunkowe, czyli nadmuchiwane przyrządy jak na basenie, które utrzymują rozbitka przebywającego za burtą tak długo na powierzchni, dopóki nie zostanie on

¹ <https://szosami.com/2023/07/23/wialo/>

przejechany przez własny jacht lub spieszącą na pomoc inną łódź ratunkową.

Ależ wtedy wiało!

Była „cofka” — cofka występuje też jako cofanie wód z morza do rzeki, a nie tylko to, co ci przyszło do głowy. Chociaż, w świetle dalszych wydarzeń...

Na Bałtyku sztorm.

My, zaparci na Żeglarstwo przez duże „Ż” (**wielką sztukę, przeważnie z metalu, której sens polega na tym, aby posuwać się powoli i donikąd, chorując przy tym z zimna i ponosząc olbrzymie koszty**), siedzieliśmy przybici do kei oraz koi i znudzeni oglądaliśmy **obiekty dryfujące, czyli wszystko, co unosi się na powierzchni i nie przyjmuje zaproszenia na coś mocniejszego.**

No i na cud przyrodniczo-fizyczny patrzyliśmy, bo z powodu „cofki” te dryfujące obiekty płynęły od morza w górę rzeki (taki paradoks, jak sraczka — **rzadko, a często**; tu podobnie: niby w górę, a w dół — tylko że na mapie).

Siedzieliśmy tak i śpiewaliśmy szanty — taki horrendalny... nie, wróc — chóralny śpiew. **Z założenia w każdym kraju śpiewa się tradycyjne dla obszaru językowego piosenki, i dlatego w Polsce przeważnie takie, jak „Sacramento” i „Whisky John”.**

Czekaliśmy, aż będzie można wypłynąć z portu.

Tym razem szliśmy na Szwecję!

Sztorm nie ustępował, czekanie się przedłużało, śpiewanie również, aż okoliczna ludzkość, lud spokojny i cierpliwy, przyszła z petycją, widłami i prośbą: — Zakończcie już, kurwa, te ryki.

Co było robić? Zostało nam picie.

To piliśmy.

Gdy się okazało, że sztorm w końcu przycichł, fale są już tylko czterometrowe, a to, co pijemy, to nalewka na mazucie ze 120-procentowego spirytu, ze mnie nie było już co zbierać.

Aż w końcu jakoś popłynęliśmy!

Oficerowie śledzili rozwój wypadków pod pokładem,

przy radarze — **takiej niezwykle realistycznej odmianie gry komputerowej, spotykanej często na większych sztukach pływających.**

Przy pomocy „radara” gracze (oficerowie wachtowi) starają się uniknąć kolizji z innymi jednostkami pływającymi, widocznymi na monitorze. Śmieszne, bo refleks czasami ich zawodzi, ale są wyluzowani — przecież to tylko gra, ma się kilka rzuci... żyć c’nie?

Reszta załogi uwijała się przy żaglach oraz obieraniu ziemniaków, a moje umarte, ale doskonale zakonserwowane w spirytusie zwłoki przykitrano gdzieś schludnie w kubryku.

Takie pomieszczenie mieszkalne patodeveloperskie załogi stosowane na okrętach i statkach w celach wytwarzania dodatkowego ciepła poprzez zbieranie metanu.

Zdaje się, że na chwilę umarłem. No, ale był powód do picia — przecież kapitanowi urodziło się dziecko!

Trzy lata temu, ale dziecko to dziecko!

I tak, płynąc po niezupełnie płaskim morzu, nieliczni złoganci zabawiali się, używając do tego bomu, czyli **poziomo przymocowanej żerdzi, do której przyczepiony jest żagiel, i którą doświadczony żeglarz potrafi opróżnić cały pokład z nie wiadomo po co stojących i gapiących się głupio innych członków załogi.**

Pozostała większość, z powodu lokalnej niepłaskości morza, po oddaniu wodzie tego, co z mozołem udało im się wcześniej ugotować i zjeść, śledziła kilwater — **taką poziomo biegnącą po wodzie kreskę, ślad po żaglowcu, przeważnie się wijącą pozostałość po jego przepłynięciu.**

Uwaga: „Poziomość” kierunku ma tu bardzo istotne znaczenie, gdyż kiedy zauważysz, że ten cały kilwater nagle zaczyna biec pionowo, to oznacza, że nie jest dobrze... Masz przejebane. Dno przeważnie jest dość głęboko, ale za to niezbyt daleko.

A ja spoko, dalej sobie nie żyłem. To już chyba drugi dzień, ale pewności nie miałem. Z poziomu podłogi w kubryku słabo widać, szczególnie jak się jest martwym.

Po trzech dniach — taki światowy standard i umarcia, i płynięcia do Szwecji — nagle ukazał się nam ląd ten upragniony.

To znaczy im się ukazała, ja już znowu żyłem, ale jeszcze nie umiałem chodzić.

Jaki piękny to musiał być widok! Nie powiem — nie wiem.

W każdym razie udało się. Mimo przeciwności losu przechwytyliśmy śmierć i dopłynęliśmy. Tak, teraz tylko pozwolenie na wejście do portu... i pijemy!

Pozwolenie niestety jest wymagane przez urzędników, a wiadomo, jaka tam w Szwecji biurokracja. Kiedy statek wpływa na obce wody — a Szwecji to chyba jeszcze obce wody — trzeba się wylegitymować i takie tam dyrdymały.

Jako ciekawostkę dodam, bo skoro tu doczytałeś, to wręciłeś się w opowieść jak liny i inne dziadostwo w część podwodną statku, czyli śrubę, że w krajach tropikalnych istnieje zwyczaj okazywania przez marynarzy zamiast dokumentu pewnej kwoty w walucie i wręczania jej oficerowi lokalnej służby w momencie podawania sobie rąk. Miło jest dodać przy tym parę przyjacielskich słów w rodzaju: — Proszę, Maj Friend, to dla ciebie. Kup sobie za to coś ładnego.

Ja właśnie zaczynałem drugie życie. Już chodziłem, zaczynałem mówić, i z radością noworodka rozglądałem się wkoło.

Byłem cholernie ciekaw, jakie nieodwracalne zmiany zaszły w moim mózgu po wypiciu tej trucizny i cudownym przywróceniu do życia.

I to wtedy okazało się, że zostałem poliglotem.

Gdyż nigdy wcześniej nie znałem szwedzkiego.

To pewne jak trampola.

A tu proszę, doskonale rozumiem ludzi wkoło.

Dodam dla porządku, że nie tych, z którymi tu przybyłem. Zszedłem na ląd i rozumiem wszystko, bezbłędnie i z rozmachem!

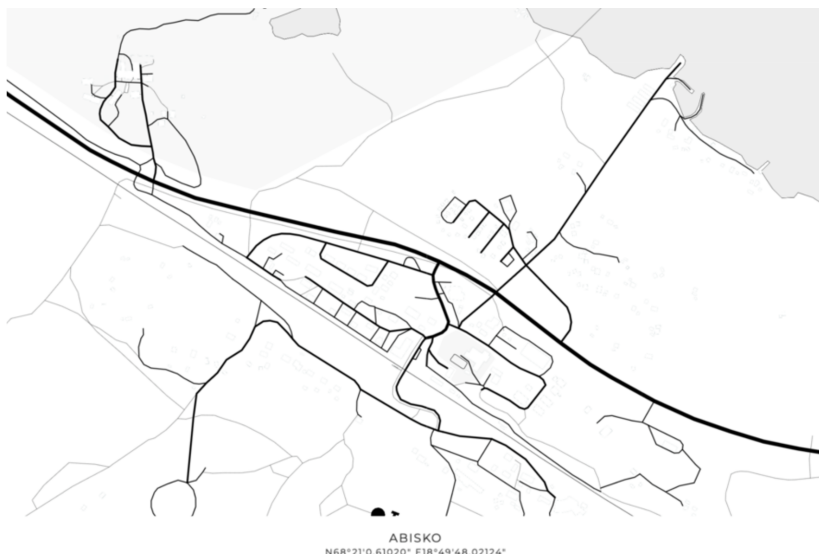
„O ja cię, jednak taki mały zgon przy pomocy środków w krajach cywilizowanych uznanych za trutkę to jest niezła sprawa” — pomyślałem i wbiłem do pierwszej z brzegu, zaraz

na brzegu kawiarni, po czym, w idealnej szwedczyźnie (bo okazało się, że także mówię tym językiem!), zamówiłem kawę.

A pani mnie zrozumiała!

Czekam, rozglądam się bardzo uważnie i widzę kartki pocztowe, na stojaku, a na każdej z nich napisano (o ja cię, to też zacząłem czytać w obcych językach?) „**Pozdrowienia z Ustki**”.

Paradoks¹



#szosopasta na 1205 słów, 6 minut czasu czytania

Skandynawia to taki region północnej Europy, obejmujący państwa typu Szwecja, Norwegia i Dania. Bez sensu, dlaczego Dania, a nie Finlandia?

Pewnie dlatego, że to jest dobre Danie do myślenia, bo przecież od razu widać, że Finlandia bardziej pasuje.

Zostawmy Danie(ę) póki co, gdyż i tak zmierzamy w tej opowieści dużo dalej, bardziej i wyżej, północniej.

Hmm, niby na Ziemi jest wschód, zachód, południe i pół-

¹ <https://szosami.com/2025/01/15/paradoks/>

noc, tak?

Dobra, to gdybyś stanął dokładnie na północnym czubku Ziemi i spojrzał w dowolnym kierunku, to z samego północzubka patrzyłbyś na wschód czy na zachód?

Z tego północnego punktu obserwacyjnego, patrząc w dal, dowolnie — czy w prawo, w lewo, czy po skosie — patrzyłbyś tylko na południe... Nieźle, c'nie?

Wychodzi, że Ziemia jednak jest płaska, tylko że w pionie.

Jechałem kiedyś, właśnie przez północ tak północną, iż słońce, z przejęcia chyba, postanowiło tam wcale nie zachodzić. A może nie miało za co?

Ludzie już dawno po robocie, tradycyjne piwko wieczorne zrobione, a że się wieczór dłuży, to po 12 szt. pykło (już wiadomo, skąd słynny na cały świat problem Wikingów z alco). Więc gremialnie, powoli i daszkiem udają się na spoczynek.

A szykując się na noc, do spania, tylko czekają na tradycyjny w każdym normalnym świecie znak — na ciemność.

— Ej, słońce? Rusz się! — A, no tak! Już, już spadam...

I już spada za horyzont. Powolutku mu to idzie, ale cóż, jest jednak w cholerę daleko (coś około 1 jednostki astronomicznej), już prawie dało radę, już niemal zaszło, i nagle(!)... przez całą tę północ przechodzi jęk zawodu... Słońce znów zrobiło ich w jajo, i kurwa mać, zaczyna się podnosić!

Właśnie chyba dlatego Skandynawia słynęła (kiedyś, jak teraz, po tych zmianach klimatu, to nie wiem) z patologicznego wręcz bezpieczeństwa, gdyż:

Jak tu złoczyć tak napranym całą tą radosną witaminą Dy?

Jak dokonywać włamań pod osłoną nocy?

Jak przemykać gdzieś ukradkiem w pełnym słońcu?

Jak elegancko zrabowany towar, gdzieś w przytulności ciemności, przykitrać?

Jak ofiarę zająć po ciemku?

Jak koś ożenić w ciemnym zaułku?

Nawet prozaicznie przestraszyć urodzinowo, wyskakując

nagle z ciemnego pokoju, się nie dało!
A idź pan w cholerę z taką robotą!

Było ciężko, dlatego złoczyńcy — te nieliczne niedobitki, które tam jeszcze pielęgnowały fach z dziada pradziada — byli wspomagani, jak tylko można. Przez pół roku płatny urlop, zwolnienie z ZUS, wakacje kredytowe i ulga na ostrzenie noży.

Tak, tak, północne kraje znane są z socjału na bogato, tam się o ludzkość dba, i u nas niedługo też tak będzie.

A i tak, mimo tych ułatwień — chętnych nie było, depresja i nicnierobienie — nawet wtedy, kiedy „po burzy wychodzi słońce” i na pół roku... zachodzi, i mają noc.

Tam było tak bezpiecznie, że aż czasem niebezpiecznie. Paradoks taki. Sam doświadczyłem!

Kiedyś, inną razą, wszedłem do sklepo-wypożyczalni rowerów. W „Daniu” to było (czyli Skandynawia). Chciałem rower wypożyczyć, cap więc za kłamkę — otwarte — wchodzę.

A tam nikogo. Wszystko na wierzchu leży, jak należy: towar cały, kasa fiskalna i sejf na widoku. Wołam: „halo”, a tam nawet echu nie chce się opowiadać — pewnie też sobie poszło — takie pustki.

Wychodzę na front, a tu — znaczy tam — ichni sąsiad podchodzi i mówi, że dzisiaj zamknięte. — Jak zamknięte, skoro otwarte? — pytam grzecznie. — Nie no, źle się wyraziłem, przepraszam za mój słaby polski, którego zupełnie nie znam, ale chodzi o to, że otwarte, bo niezamknięte, ale zamknięte, gdyż nieczynne.

I weź gadaj z takim. Cały towar leży, możesz sobie wejść, wziąć, wyjść i wynieść... i nikt tego nie robi! Idioci? Czy (dopiero potem wyszło, że złoczyńcy na wolnym i się leczą) co?

Ale przez takie próby i zachowania, no... na kogo człowiek wychodzi, kiedy tak wchodzi i z niczym wychodzi? Przecież to „okazja” jest, a ona „czyni”!

Jak to świadczy o przedsiębiorczym Polaku (komu, czemu — to z małej chyba)? Jak się ludziom w ojczyźnie potem pokazać bez łupu? To przecież jest nieudaczność, fajłapo-

wość, niezaradność na skalę kosmiczną, a co najmniej Wschodnioeuropejską.

Ktoś inny to na pewno by padł ofiarą tej „okazji” i nie-szczęście gotowe.

Dlatego właśnie najlepsze kryminały są ze Skandynawii. Siedzą i wymyślają niestworzone dyrdymały teoretyczne, bez oparcia w praktyce! Za grosz prawdy nie ma w tym i pewnie dlatego takie to dobre. Wymyślać to i ja potrafię, ale idź i to zrób!

Kiedyś, tu wracam do początku tej rozwleczonej opowieści, dawno temu, kiedy Skandynawia była bardziej niż mniej — blond z niebieskimi oczami, a co za tym idzie, Wikingowie, by uczyć się strachu i złoćystwa, musieli udawać się po korepetycje na południe, do Galów — jechałem na północ tak bardzo północną, że krok dalej i się zwalisz lotem bezwładnym, jak z urwiska. Dosłownie jeszcze jeden krok — i spadasz na południe.

Tak bardzo ta północ była tam hen w górze. Jedziemy sobie jakby nigdy nic, aż dojechaliśmy do miasteczka. Oni wszyscy te miasteczka mają tak urocze, tak cudnie pomalowane w kolorach — których tu nie oddam, gdyż nie dysponuję tak rozbudowaną słowną paletą barw — że jakbyś się przeniósł do bajkowego świata.

Krajobraz jak z filmów Davida Attenborough czytała Krystyna Czubówna. Jak gustujesz w socrealizmie, to bajkowo do wyrzegania. Ileż można patrzeć w lazur morza, w którym przeglądają się majestatycznie ośnieżone szczyty zjawiskowych gór, a fiordy...

A fiordy przyozdobione po bokach zwinnymi wodospadami, skaczącymi z szarych skał prosto na główkę w odmęty tych modrych, przetykanych ultramaryną wód, gdzie łoś na wolnym wybiegu się pasie...

W każdym razie: jestem. Miasteczko, miścinka taka — wioska z rynkiem — czysto, schludnie, atrakcyjnie, a ludzie od rana... wróć... od jakiego, kurwa, rana, kiedy słońce nie zaśzło? Ludzie, by jakoś bez snu żyć w tym raj, non stop na ko-feinowym haj.

Kiedyś, kiedy jeszcze nie było Eurowizji, internetu i TikToka, cała ta Skandynawia zanurzyła się w nieskończonym mroku egzystencjalnej rozpacz i samobójczej depresji. Zwykłe lekarstwa — biczowanie się namoczonymi brzożowymi witkami, gorzki humor, tygodniowe pijackie ciągi — nie pomagały.

I wtedy nadszedł czas kawy. Dlatego nie dziw się więcej, że taka skandynawska Szwecja słynie z kawy. I z jazzu. I z Volvo. I z Ikei... Dobra, dość.

Zatrzymałem się, wysiadłem, rozprostowałem kości — czas na kawę. Ruszam więc do baru i odruchowo: pik pik pilotem samochodowym.

Nagle patrzę wkoło i... czy ja włączyłem coś w aucie, czy wyłączyłem rzeczywistość? Ludzie się zatrzymali w pół ruchu, jedynie ostatkiem milisekund, zanim całkiem zamarli, odwrócili głowy w moją stronę. Światła skrzyżowania stanęły na czerwono-zielonym. Ptaki zaczęły stadami spadać z nieba, bo zapomniały machać skrzydłami, drzwi od sklepu zmarły w pół ruchu i nie zdążyły się automatycznie zamknąć, a w automacie puszka z colą zaczęła lewitować.

Świat, być może nawet i Wszechświat, zmarł.

Potem, jeszcze długo po moim odejście, z całego kraju zjeżdżali się stadnie naukowcy, od zachowań fachowcy, socjologowie oraz inne „owce”. Sensacja taka roku — że film planowali nakręcić. Sensacyjny thriller w 7 sezonach, po 15 odcinków każdy (Netflix ma prawa).

Przeprowadzono szczegółowe wywiady, dokonywano obliczeń, próbowano rekonstruować, a w ogólnokrajowej telewizji na czynniki pierwsze rozbierano okoliczności, motywy i przebieg wydarzeń.

Na wizji psychologowie spierali się z psycholami mającymi wizje.

Racjonalni naukowcy z wiedzącymi lepiej celebrytami, pospołu i zgodnie — gdyż nie czas na spory, gdy świat stanął na krawędzi — rozbierali zagadnienie na czynniki pierwsze, udzielając porad, jak się zachować i przetrwać ten kryzys.

Wszyscy razem i każdy z osobna próbowali zrozumieć i wytłumaczyć sobie i wszystkim: „Po co, na Syna Szyny i Thora, ktoś na Północnej Północy Superbezpiecznej Skandynawii ryglował w aucie drzwi autopilotem?”

Dla bezpieczeństwa? Ok, ale czyjego?

Co w takim razie on tam miał w tym aucie, na Łąki Walhali, że zagrażało całemu miasteczku? Bo przecież go nie zamykał przeciw skradzeniu...

Atlanterhavsvegen¹



#szosopasta na 281 słów, minuta czasu czytania

System mostów i grobli nad Zatoką Hustadvika tworzy jedną z najwspanialszych tras drogowych ever. Jadąc nią, masz wrażenie przemieszczania się po otwartym oceanie. Najlepiej podróżować podczas letnich, białych nocy, kiedy słońce sunie nisko nad horyzontem.

Droga Atlantycka (Atlanterhavsvegen) jest usytuowana w ciągu trasy nr 64 pomiędzy Kristiansund a Molde i przebiega się przez archipelag kilku małych wysp oraz szkierów w Za-

¹ <https://szosami.com/2025/01/05/atlanterhavsvegen/>

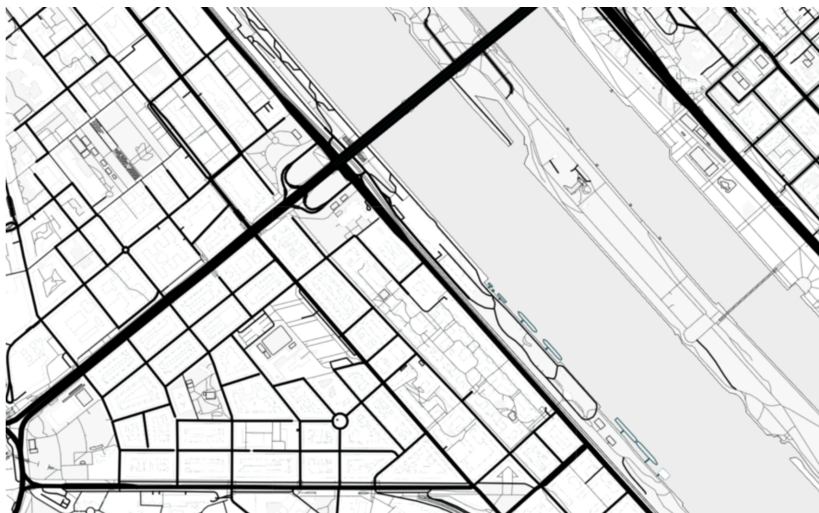
toce Hustadvika, w odsłoniętej części Morza Norweskiego. Całość opiera się na systemie grobli, wiaduktów i ośmiu mostów, spośród których najbardziej widoczny to most Storseisundet.

Zatoka Hustadvika była postrachem żeglarzy i, nawet nieznających lęku (kto czytał Asterixa, ten wie), Wikingów. Sztormy chętnie pośredniczyły w przyjmowaniu darowizn (rozbitych o tutejsze skały) dla bezlitosnego Neptuna, składających się z drakkarów i innych obiektów pływających. Teraz ich szczątki prześwitują pod powierzchnią wody i można je podziwiać, więc są chętnie oglądane przez grupy nurków (od wewnątrz) i zmotoryzowanych (od zewnątrz). Woda raczej chłodnawa (to nie Chorwacja, mimo że sierpień), więc pianka, sucha, obowiązkowa.

Statki teraz są już solidniej budowane, nawigacja bardziej dokładna, więc i katastrof jest mniej, można skupić się na drodze i podziwianiu spektakularnych widoków.

Dekapitując rekapitulację... Jeśli kto lubi podziwiać świat, niechaj się wybierze, najlepiej po prostu przed siebie — Drogą Atlantycką. Jeśli nie, również. Cudo!

Hotplejt¹



#szosopasta na 388 słów, 2 minuty czasu czytania

Lubię Wiedeń, ten wielokrotny lider światowego rankingu miast najlepszych do życia. Czysty, bezpieczny, fantastycznie skomunikowany.

A jak Wiedeń, to kawa, sernik, opera, Prater, no i pizza! A dzisiaj dzień przecież pizzy. Potrawa uniwersalna, ogólnoświatowa, ponadpodziałowa, antyszowinistyczna, nierasistowska. Je ją każdy, może poza hawajską — ale my tę zbrodnię rozliczymy w Hadze!

¹ <https://szosami.com/2025/01/17/hotplejt/>

Tamten maj, w owych latach 90., nie był łatwy. Człowiek już się golił, ale nieczęsto; paszport był, ale kasa — nie bardzo. Głód świata nas tam przywiódł autostopem. Ten głód jednak nagle przybrał mniej duchowe, a bardziej biologiczne kształty. Trzeba coś zjeść! Kebabów jeszcze nie było, parówek wiedeńskich — nie znaleziono. Ale za to była pizza!

Coś, co w kraju bloku wschodniego i bloków z płyty, z rasowymi przedstawicielami homo sovieticus, było nieznane. Zjemy pizzę! Koniecznie!

Wbiliśmy do pizzerii jak lordowie, na pewniaka, goło, ale z fasonem. Pamiętaj, parafrazując mistrza: „Gdy nie wiesz, jak się zachować, zachowuj się jak luzak”.

W Wiedniu wtedy nie mówili po arabsku, tylko po niemiecku, a walutą nie było euro, tylko szyling. Tak, pamiętam — kiedyś stało się na granicach godzinami, zamiast dowodu (sporadycznie) używało się paszportu (permanently), a w ramach karty kredytowej używano ciężko wymienionej, ze zbójceją prowizją policzonej waluty. W UK to był funt szterling, a w Austrii — to nie-funt szyling.

Jesteśmy w wiedeńskiej pizzerii. Piękna, lipy nie ma, nie to, co teraz. Ślinka cieknie, menu podane, nic się nie rozumie po austriacku, ale to i tak nieważne, gdyż ceny zwalają z nóg dwóch dziadersów ze wschodu, mimo że z północy, którzy już z głodu na nogach ledwie stoją. Wszystko za drogie jak na nasze bezkredytowe kieszenie. W cenie dobrej, przystępnej i do przyjęcia dla dwójki, co groszem nie śmierdzi na krawędzi głodowej śmierci, jest tylko jakiś „hot plate”!

Jest hot? Yes!

Jest w menu? Yes!

Stać nas?!? Yes!!!

— Zwei Hot Plate, bitte! (Dwa hot plejty poproszę).

Ma się ten wymów po niemiecku ze średniej szkoły, na trójkach przejechanej, a nie było łatwo — wtedy w szkole głównie rosyjskiego uczono!

— Alles?

— Yes!

Kelnerce nawet oko nie drgnęło. Profesjonalistka!
Poszła do kuchni, wyszła z niej po chwili, a z nią cała kuchnia
wyszła. Wszyscy chcieli zobaczyć dwóch młodych z zagranicy,
jak jedzą „gorące talerze”.

**Ale złego słowa nie powiem — z tego, co pamiętam,
to za tę cenę dobrze je nam podgrzali!**

ABBA¹



#szosopasta na 623 słowa, 3 minuty czasu czytania

— Tyle chodzisz do tego kina, ty to musisz to lubić. —
Hmm, no tak, muszę!

Tak, życie z Filmoznawcą przez duże, zawodowe „Fy”, nie-
sie ze sobą pewne niedogodności. Ale też i ciut przyjemności,
na którą człowiek sam by nie wpadł. I nie poszedł. Na przy-
kład — film o ABBIE.

No bo kto ostatnio słyszał, że można zobaczyć film o tym
szwedzkim bandzie?

¹ <https://szosami.com/2025/03/19/abba/>

Który... (ten band) i cóż, że ze Szwecji, skoro go lubię?
I to niedawno (ten film) — w kinie!

Tak, film o ich trasie koncertowej po Australii z dawnych lat wniósł nutę tak potrzebnego teraz optymizmu. Wjechała, całą furgonetką nut, i przez tę dwugodzinną chwilę mogłem nie pić z nerwów. Choć przez chwilę.

Film z ABBA w tych antypodowych krajach południowych przypomniał mi, jak kiedyś też byłem na południu. W Grecji. Krainie po drugiej niż Szwecja stronie Europy. Kolebce filozofów, nauk, demokracji... i dodatków za szkodliwe warunki w pracy, czyli za wchodzenie do biura po schodach.

Wjechałem do Grecji niczym ABBA do Australii — z przytupem. I od razu, autem, zapadłem w nią. W poszukiwaniu demokracji, filozofii, antyków i kuchni ich lokalnej, rodzimej produkcji.

Chciałem, skoro już tu jestem, poczuć cały ten autentyczny klimat antyczny. Tego ducha starożytności zobaczyć. Być niczym Achilles czy platoński Sokrates o nihilistycznych zapamiętywaniach sofisty. I raz, nie z Lidla (tydzień grecki), popróbować słynnych na świat kulinarnych specjałów.

Ale co poczniesz, kiedy jedziesz, a wszędzie: Drogi — autostradowe. Pizzerie — włoskie. Turyści — amerykańscy. Kawiarnie — arabskie. Kebaby — tureckie. Turyści — niemieccy. Bankomaty — z banknotami. Wi-fi — z free zone. I turyści — japońscy.

Panie, tu wszędzie XXI wiek!
A ja chcę trochu antyku!
Cofnąć się — najlepiej w czasie!

„Niestety, wszystkie antyki wyprzedane. Najbliższy autentyczny antyk znajduje się w muzeum starożytności w Londynie.”

I wtedy przypomniałem sobie: No tak... ale przecież jest ABBA!

Akcja musicalu z ich muzyką, słynnego „Mamma Mia”, dzieje się przecież gdzieś tu. Na wyspie made in Grecja. Odludnej, oryginalnej i ustronnej! Sam osobiście widziałem na filmie.

Zmiana planów. Kierunek na Greka Zorbę, niezniszczalny optymizm, radość życia, słońce, morze i jakieś owoce morza, bo się głodnym robię! Tam dopadnę tę Grecję made in Grek.

Dobra. Poszukam więc tej odludnej, klimatycznej, wypatrzonej w „Mamma Mia” Grecji sielskiej, „wsi spokojnej”. Tej z białymi domkami, niebieskimi dachami i sałatką z serem feta. Tak, owej, co się ją widuje na miliardowych zdjęciach na Insta z powszechnych wczasów all inclusive.

I tam, w lokalnej restauracyjce dla utrudzonych rybaków, pokrytej centowymi obrusami w kratę...

Mniam Mia! Mniam. Silnik włączam, nawigację wyłączam. Zdając się na intuicję, czuję się kierując, zamierzam zmierzać na najdalej wysunięty w Morze Egejskie odludny cypel.

Tam, w ten interior, gdzie prawdziwa, bezturystyczna jest Grecja. Ech, zagubić się, zapomnieć o świecie. Cofnąć się i zapasać w tę krainę przedunijną i niezunifikowaną, od zatwierdzonego kąta wygięcia banana jakże odległą.

Jechało się długo, a im dłużej się jechało, tym nadzieje rosły. I apetyty!

Na te moussaki, dolmadesy, taramosalaty, horiatki, spanakopity, fasolathy, loukoumadesy i sałatki greckie. I osły. Ouzo, tsipouro i metaxą popite. No i baklava!

Dobry znak pojawił się w końcu — ułamany i podrzewiały był. Droga stale się pogarszała, przeorana strumykami wody spływającej z gór. Ciągłe kręta, skręcała w dół, nad samo morze, wiodła lasami bujnymi. Domostw ubywało, asfalty słabły jak zasięg komórki, a przyroda pokazywała, kto tu rządzi!

Kolejny osiołek przewinął się pomiędzy wieloma tambylcami w zdezelowanych swych pojazdach marki pick-up. Aż, no nareszcie — droga się kończy, zaczyna morze, a auto me dalej chyba już nie może.

Jest upragniona, zaginiona, odcięta od XXI wieku Grecja przez duże Mamma Mia!

Doskonale się składa, bo solidnie, przedzierając się przez głąsę, zgłodniałem. A Polak jak głodnieje to nie łagodnieje!

Zacieram ręce, zostawiam pojazd swój niepotrzebny...
Czas iść, pójść, dojść i zjeść!
Po drodze chłonąc lazury wody, blaski słońca, zielenie przyrody!

Ech, tu jest Grecja! Tu się oddycha!
I nagle, niespodziewanie, tak jak sobie wymarzyłem, planowo,
wyrasta upragniony typowy prowincjonalny grecki Bar Uniwersalny. A przed nim napis: **„Najlepsze ruskie pierogi! Poleca Magda Gessler. Zapraszamy!”**
W dodatku... po polsku, bezbłędnie wypisany!

Spartan¹



Θεσσαλονίκη
N40°38'25.14012" E22°56'6.97776"

#szosopasta na 782 słowa, 4 minuty czytania

Thessaloniki w Grecji to nie jest miasto (choć wygląda, jakby nim było) — to jedna wielka impreza. Wszędzie knajpy, kawiarnie, restauracje, puby. Wszystkie pełne, i to od rana. Nie tylko turystów pełne, ale i tambylców. Nie znam się, bo ja z północy gdzie pijesz pół nocy w bólu istnienia, a potem płaczesz pół nocy... z bólu przemijania. Tu to chyba taki styl życia i ludzie tacy — weseli i towarzyscy. Piją coś od rana, a żadnych burd, żadnych, mordobic i nikogo pijanego. Ej, ale co jest z nimi nie tak?

¹ <https://szosami.com/2025/02/03/spartan/>

I mimo że nienormalni, i w tej sytuacji zaleca się w kontaktach wzmożoną ostrożność, to klimat świetny.

Saloniki! Jedno z fajniejszych miejsc, w których byłem. Historycznie, widokowo, imprezowo...

Wtedy, w czasach przedunijnych, kiedy Grecja była małym, odległym, osiadłym gdzieś z boku wydarzeń echem swej wielkiej przeszłości, mimo że to przed modnym ociepleniem klimatycznym i tak było wtedy Gorąco przez duże Gie. Lato, dawno nie lało a upał taki, że mi się klapki przykleiły do ulicy tak, że nadal mam pamiątkę w postaci greckiego asfaltu, a oni dziurę w jezdni. Kiedy wydarłem go do poziomu Rzymskiej via Egnatia nie chcący zostałem przemytnikiem dróg.

Ile można wypić kaw mrożonych w takim upale, ile zimnego piwa i innych napojów? Nieskończoną ilość! I tak wszystko od razu wyparowuje. Czas więc jechać dalej, na północ, póki jeszcze na wiór nas nie spaliło to greckie słońce. Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, nawet Saloniki te.

Dworzec kolejowy (ten z czasów przedunijnych), gdyż wtedy tanich linii lotniczych nie było nawet w umysłach wizjonerów, dostosowany został do typowego bałkańskiego standardu, coś w stylu: „Spoko, luz, mamy czas. Się napisze, się wyjaśni, się wywiesi... może później”.

Rozkład jazdy? A po co? Pociągi są dwa — jeden na południe, drugi na północ. Przecież każdy tu to wie.

No to ja się pytam: Kiedy jedzie ten na północ? I przede wszystkim, dokąd on jedzie?

Sam siebie pytam. Kasa zamknięta, informacji tradycyjnie nie ma. Tylko kartka wywieszona i po grecku (chyba) nabażgrane, że (chyba): „Budapeszt, odjazd o 9 wieczór, przyjazd o 6 rano”.

Jeśli to prawda, a internetu jeszcze nie ma i wujek Google nie pomoże sprawdzić, to w sumie fajnie — przez noc się człowiek prześpi i rano, niepostrzeżenie, rach-ciach, Budapeszt. Północ, chłód, znowu temperatura ciała wróci do 36,6 z pułapów, na których białko się ścina.

Magicznym jakimś sposobem udało się dotrzeć do wieczornego odjazdu i, zataczając się od nadmiaru witaminy D, naładowany słońcem jak chomik ciasteczkami, czekam na odjazd.

Pociąg jest w typowo wschodnioeuropejskich (kto jeździł PKP w latach 80., ten wie) standardach. Brudne, zdezelowane, zniszczone przez życie w ciężkich warunkach przedziały. Toalety? Pomińmy je stosownym milczeniem. Ich po prostu nie ma — jest dziura w podłodze.

Ale co tam! Nie w takich warunkach się jeździło, choć trzeba przyznać — w aż takich, to rzadko.

Cóż, kolebkę Spartan tu mają, co nie? Ćwiczą się w spartańskiej jakości, innym pokazują, jak bardzo można być Spart. Ludzie walutę wymieniającą w postaci dolarów płacą, żeby być jak Leonidas. I to jest pierwszy test — przejazd pociągiem typu „Spartanin”.

A pociąg, jak wynika z mapy, jedzie do tej wymarzonej, chłodem ciągnącej krainy zwanej Budapeszt — przez Bułgarię i Rumunię. A Bułgaria i Rumunia w tamtych czasach to były krainy piękne, ale i wymagające — życia nie ułatwiały te postdemoludzkie raje, kolebki wolności i demokracji ludowej.

Nie ma się więc co dziwić, że pociąg do wypasionych angielskich lordów nie należy — to odległy, zapyziały, żyłasty, zahartowany życiem bałkański kuzyn-minimalista.

Ale ja się tym nie przejmuję. Padnie się jak trup na fotel czy inną podłogę i się dośpi. Jedna mała woda na drogę, a rano — pörkölt, Tokaj i halászlé czy inne leczo!

Ruszyła maszyna po szynach ospale. Mimo iż mocno hałasuje, rozkręcając zastałe, mało smarowne metale, łożyska, tłoki i sprzęgi, dobrze słyszę — ktoś idzie korytarzem i w swoim, doskonale mi obcym i nieznanym angielskim z akcentem USA wyklina:

— Fak, siet, faking trein, aj hejt dis trein!

— Hej, kolego? — mówię do niego, gdy już dotarł na moją wysokość. — Co tak fakujesz, ci nie pasi coś? Jesteś Spartanin, czy nie jesteś?

- Będzie ciężko!
- Jakie ciężko, cieniasie? — myślę i mówię. — Parę godzin w nocy jazdy, rano jesteśmy na miejscu i ciężko?!
- Ale jakich parę godzin?
- No, normalnie, z wyliczeń wychodzi, że 9...
- Ale jakich parę godzin? — pyta znowu, wbijając we mnie nic nierozumiejący wzrok.
- Tępi ci Amerykanie! Czego nie rozumiesz, debilu? — myślę i pytam. — Jest napisane: „Wyjazd 9 wieczór, przyjazd 6 rano”?
- Maj friend, jest tak napisane w Grecji, po grecku. Dats rajt, its korekt! Ale ja tym pociągami z Budapesztu tu przyjechałem, gdyż to jedyna opcja przyjazdowa jest. I on będzie o 6 rano na miejscu. Wszystko się zgadza, on tam będzie o 6, ale zaraz, jak się upora z Bułgarią i Rumunią, czyli jakieś dwa dni później.
- **O kurwa...**

W Kairzu¹



#szosopasta na 1836 słów, 10 minut czytania

„Wylądowałem” wtedy w Kairze po morderczej przeprawie z półwyspu Synaj. Były lata 90-te, ja sam i bez jakichś dziwnych internetów. Wtedy internet dopiero wchodził pod strzechy, a jak ktoś miał e-mail (WTF?) to, żeby go przeczytać, najpierw to sobie drukował i prosił żeby dla pewności wysłać mu też faxem.

Przy okazji, było to tuż po krwawym zamachu. Grupa terrorystów zaatakowała wtedy autobus przewożący niemieckich turystów

¹ <https://szosami.com/2025/02/19/w-kairzu/>

w pobliżu Hotelu Europa w Kairze. Zamachowcy otworzyli ogień do autobusu, zabijając 18 osób.

W latach 90. XX wieku w Egipcie obowiązywała stosunkowo surowa regulacja dotycząca alkoholu, głównie ze względu na wpływ islamskich praw i tradycji na życie publiczne, ale po tym zamachu... było jeszcze gorzej.

A ja, umęczony, bez kasy, sam, z doskonałą nieznajomością czogolowiek... Ech, wtedy przy mnie, Johnny English kryptonim operacyjny „Fasola”, to chodząca kompetencja i szczytowy profesjonalizm.

Każdy prawdziwy, profesjonalny zawodowiec ma we krwi zdolność wtapienia się w tłum tubylców. W małym placu u nogi (tej jeszcze nieodrąbanej) ma lokalną kulturę, jej system monetarny, adresy skrzynek kontaktowych i handlarzy walutą — tylko tych czarnorynkowych. My, fachowcy, pojawiajemy się niepostrzeżenie, załatwiamy swoje agencjskie sprawy i elegancko znikamy... jak zjawy.

Lecz Kair, do którego właśnie się dobiłem, jest tylko drobnym pionkiem na szachownicy, na której rozgrywam tę partię. Mimo że jest miastem olbrzymim, pięknym, zaraźliwym... Nie, nie, co ja gadam, nie jest miastem, jest Klejnotem Nilu. Tego Nilu. Nie ma się z czego śmiać! Kolbuszowa na Podkarpaciu też leży nad Nilem!

Choć to gigant, miasto wspaniałe i trochę zapuszczone, gdzieś tam pełne śmieci, kabli, kibli i kebabu, to kosmopolityczne to miasto, mekka szpiegów, akcji specjalnych, pity i kawy w dużej ilości pity. Lecz nie dla mnie i nie dziś.

Teraz jest tylko nieistotnym przystankiem w podróży do miejsc, gdzie o „większe, z możliwymi tego świata, stawki się gra”. Wpaść tu i wypaść tam.

Czy jak rasowy zawodowiec wylądowałem w nim niepostrzeżenie?

Czy jak przystało na wytrawnego szpiega przybyłem z fałszywą legitymacją, fałszowaną dwuzłotówką i atramentem z chińskiego pióra?

Czy niezauważony przez tajne służby przemknąłem się cichcem i wyjściem dla agentów oraz personelu? Czy od niechcienia pozbawiwszy głów niewygodnych świadków dwóch, wymknąłem się jak Brus w swych cichobiegach w ciemne chaszczę?

A gdzie tam! Od razu by się kapnęli, kim jestem i że jestem!

Wbiłem w Kaira na luzaka, w dżinsach, trampkach, białym podkoszulku i z wiernym moim plecakiem (którego potem ukradli mojemu bratu nad morzem nieżywi już teraz głupcy) z półwyspu Synaj. Co na Synaju robiłem, powiedzieć nie mogę, ale powiem, że zakutany w alpinistyczny sprzęt puchowy do przetrwania w ekstremalnych himalajskich warunkach, nie spałem całą noc, dygocząc z zimna na pustyni i tylko patrzyłem, jak moi towarzysze, jakichś dwóch egipskich geodetów albo robotników — pewnie wolnych niewolników — smacznie chrapie, owiniętych kawałkiem folii i w jednym klapku. To zapamiętam na zawsze. Od samego patrzenia nigdy tak wcześniej nie zmarzłem!

Było minęło, jest dzień, upał listopadowy. Do Kairza przybyłem autobusem, dla niepoznaki przebrany za turystę. Demonstruję w ten sposób postawę „Nic do was nie mam, Tajne Służby. Jestem zwykłym lamerskim turystą”. Oczywiście, tajne te służby na pewno mnie już śledzą i wiedzą, iż perfekcyjnie nie władam setkami języków, w tym dialekty, (ledwie władam własnym), i równie doskonale nie znam lokalnych zwyczajów i zwyczajnych lokali. „Spokojnie Policjo Polityczna, Agentury obcych Wywiadów i Wywiadówek, Przedstawiciele Bojowników i Akwarystów, przybywam w pokój!”

Nie chcę tu żadnej rozróby, nie jestem na robocie, a szukam jedynie pokoju, może być bez przedpokojów i spokoju. Nic specjalnego, ot przenocować jeno, pył podróżny z siebie zmyć, zjeść słynnego kebaba od Stefana (ponoć nauczył się je robić w Sosnowcu — bo mają tam specjalne Sosy na bazie Sosny) i się zmyć. Chyba nie dali się zmylić i zbyć.

Wybrany losowo taksówkarz mówił łamaną angielszczyzną — dokładnie tak jak ja — sam nie mógł tego zgadnąć. Tak, musi dla kogoś robić. Gram więc dalej swą grę:

— Do hotel, czip hotel, pliz mię wieź, ile płacę from de mountain? — Jes mister, jest taki, ja znam wery czip hotel, specjal price for ju, my friend!

Tym, którzy się już zgubili w tej opowieści, a dodam, że ja nigdy się nie gubię, przypominam: Jesteśmy w Kairze, są lata 90-te XX wieku, panuje tu Islam, a ja jestem niezgubiony, ale przejazdem. Nie mam smartfonu, ani fonu, a nawet domofonu. Za to jestem sam i na siebie jedynie zdany. Ale cóż, taki fach... „Wiecznie w drodze”.

No właśnie — droga wiję się między zgrabnymi, niezadbanyymi blokami bez fasad, bo jakiś Fassal zapomniał je wykończyć, nim dał się konkurencji wykończyć. I tak im już zostało. 7-pasmowa droga po horyzont zapchana jest pojazdami w 13 rzędach, zawzięcie walczącymi o każdy centymetr powierzchni i każdego pieszego, którego da się utrafić zderzakiem, choćby w nogę. Porozumiewają się klaksonami i ustawioną na ful z powodu klaksonów muzyką ArabDisco na franczyzie Polo Disco.

— Tyle dróg budują, a nie ma dokąd jechać — zagadnąłem filozoficznie Himilbachem, gdy staliśmy w korku, aż po Cieśninę Bosfor ciągnącym się chyba. — Him is Bach? Ach... Bach! Ja, ja. Ja znaju jeju mister! Szedł Szopen i Bach! ha ha — wyszczerzył się do mnie swymi doskonałymi brakami w uzębieniu, z lekka już utrudzony uturbaniony szofer.

A ja, ukojony szarpaną jazdą, staccato klaksonów, moderato molto bene wykwintnej melodii arabskiej, na disco polo licencji, zasnąłem. Kiedy się obudziłem, byliśmy na miejscu. Choć spałem, moje szkolenie nie, dlatego doskonale wiedziałem, gdzie jestem. My, agenci, nawet we śnie jesteśmy jak te gołębie co śpią jeno połową głowy.

Uroczy hotel, na szczęście z wymontowanymi niebezpiecznymi przecież windami, z kilkoma oknami jedynie dla lepszej wentylacji i z artystycznym graffiti, od razu przypadł mi do gu-

stu. Idealnie wpasowywał się w moją przykrywkę taniego turysty z dzikich północnych krajów, gdzie po ulicach, co każdy mały Mustafa wie, biegają nie tylko zimą białe niedźwiedzie.

Gdy w końcu wszedłem na 12. piętro, na którym zlokalizowany był mój przytulny hotelik, perfekcyjnie ufryzowani brodacini panowie portierzy, w ilości sztuk 5, i podkoszulkach o specjalnych wycięciach na bicepsy (żeby się w nie w ogóle zmieścić) przywitali mnie tradycyjnym — zdrastwujcie towarzyszc. Siet — pomyślałem — i całą przykrywkę szlag trafił.

Dobrze choć tyle, że to nie są zawodowcy, tylko jakaś lokalna bojówka walcząca o Wegetariański Kebab dla Każdego! Ale, mimo to, że to amatorzy, dobrze się przygotowali, musieli w trakcie mej jazdy przeczytać sfabrykowane dossier o mnie, gdzie jak byk stoi — 3 klasy ruskiego w technikum.

No nic... skoro oni to wiedzą, to już wiedzą, że ja to wiem, że oni to wiedzą.

— Dobra chłopaki, karty na stół. Potrzebuję bilet kolejowy 5 klasy na osobowy do Luksoru, na ten odchodzący o 21, załatwicie?

Zostawili karty, w które udawali że grali, zmierzyli mnie wzrokiem, roześmiali się śmiechem, od którego wszystkie noże na kwartale się stępiły, a ich przywódca, chyba właściciel tego lokalu, niski, smagły i śmigły mówi mi:

— Wiemy coś za jeden. Tyś jest biedny turysta, c'nie? Załatwimy ci ten bilet, który kupić samemu właściwie jest niemożliwe, a i poczęstujemy lokalną kuchnią. Od razu mówię, to nie są jakieś kababy z Sosnowca, a na koniec wyprawimy w podróż, byś dokończył swą misję. Lecz za te cuda i dziwy (jeśli potrzebujesz) i ty musisz uczynić coś dla nas.

No oczywiście, jak zwykle! Wiadomo, gdzie się nie ruszysz, każdy czegoś chce. Cóż, specjalne, kształcone latami, doskonale w praktyce umiejętności wszędzie są potrzebne i w cenie.

— Wiemy mister, żeś przybył z zagranicy, a ty zapewne wiesz, gdzieś jest? — W Egipcie? — Jest Mi-Ster, w Egipcie Arabskiej Republice, gdzie Islam zakazuje alkoholu pod Karą

Mustafą i ścięciem głowy. Dlatego drogi on jest, ten alkohol, jebutnie drogi, coś jak za prohibicji w USA, a sprzedają go tylko cudzoziemcom, w specjalnych jednostkach handlowych zwanych „Bez Cłowe”, z wbiciem tego zakupu do paszportu, i uwaga: lub legitymacji!

Tu mnie mają, już miałem się wykić i wyjąć asa, znaczy się podrabianą jednorazową legitymację zniżkową. Tak, przejrzał mnie. Nie miałem wyjścia — musiałem się zgodzić — lecz chęć do współpracy udałem tylko, a drugą stroną synaps, jak gołąb, dumałem nad planem.

Jak tylko pójdę po flaszkę, zniknę, gdyż nigdy się nie gubię, i wiem dobrze, gdzie jestem (to Kair, c’nie?). W Kairzych ja zniknę zaułkach, na pociąg wbiję od drugiej strony, potem w długą i w obce strony.

Nigdy mnie nie znajdą.

— No to mamy deal — ucieszył się. — Ty teraz pojedziesz z moimi z bandy frendami i paszportem (lub legitymacją — mrugnięcie okiem) po alcockontrabandę, oni ci pomogą, a ja w tym czasie natychmiast załatwiam bilet 5 klasy na osobowy do Luksoru, 1500 km w jedną stronę, wyjazd 21. It’s correct for ju mister turisten?

Ach, więc to tak? Z przyjaciółmi mam iść?

Nici z planu A, teraz do planu B przyda mi się kawałek polana. Ok, można z frendami, może i są wielkości podręcznych kontenerów oceanicznych, ale ja, bracie...

Po dużej wódzie lepszy jestem w dżdudzie.

Techniki karate ćwiczyłem z bratem.

Na bramce stoję, i proszę ja ciebie, ja nikogo się nie boję!

Już widzę, jak od niechcenia ich obezwładniam techniką spłoszonego motyla, porażam wrażliwe nerwy, polanem w zęby i znikam we mgle kairzych kanałów.

— Ale bagaż zostaw tu, to w końcu jest hotel, bagaż bezpieczny, a niebezpiecznie chodzić po nocy i mieście z bagażem, podejrzane być to może i nie daj boże.

I mnie zaszachmaci! Plan B padł, muszę współpracować.

I pojechaliśmy, kluczyli zaułkami, kłódkowali uliczkami, łańcuchowali ciasnymi przejściami przez ciemny, nocny, piękny w swym nieładzie Kair, ten nieturystyczny, ten dla lokal-sów. Nie zmylili mnie zaś, jestem w te klocki lepszy niż Liam Nissan w Uprowadzonej 2.

Mogliby mi zawiązać oczy, wyłączyć światła i zatkać uszy, a ja i tak bym wiedział, gdzie jestem! Zliczam ilości i częstotli-wości kocich łbów poprzez opony i siedzenie. Tak szkolą najlep-szych, którzy dzięki temu nie gubią się nigdy, no i są najlepsi! Tam też, gdzieś w czeluściach, przy okazji zjadłem niezapom-niany posiłek, po którym dwa miesiące brałem zastrzyki w brzuch gorsze niż te na wściekliznę — tak bywa jak się je lokal-ne żarcie, proszę ja ciebie... I popija wodą z kranu.

A kiedy w końcu na koniec dotarliśmy do sklepu „Wolno Cłowego”, co był w uliczki końcu, okazało się, że jest on zamknięty. I znów mnie wiozą, znów kluczymy, zliczam łby, wy-patruję punktów, oceniam topografię, i coś im dla zmyłki truję, ale w głowie knuję, i myślę, że to już chyba koniec. Zaraz i bez zwłoki, pozbędą się teraz niepotrzebnej im już mej zwło-ki. Ale póki ręce mam niezwiązane (nie mają cieniasy tryty-tek), będę walczył. Tak dumam kiedy nagle pada — Wysiada-j mister, my jeszcze mamy coś do załatwienia.

To polecił mi ten mniejszy, bo tylko on był w stanie trochę obrócić głowę na szyi niczym postument Statui Wolności. Więc to tak, strzelą mi w plecy w zaułku i jak psa porzucą.

— Panowie — gram na zwłokę, by zbyt szybko nie być zwłoka-mi — a mój bagaż, a pociąg, a... i no, gdzie my jesteśmy, bo ten, trochę się zgubiłem...

Gdyby mogli, popatrzyliby po sobie. Jakby się dało zaklino-wanymi w podsufitce głowami kręcić, to by kręcili, ale się nie dało. Rzucili więc tylko gdzieś przed siebie — Oj mister, mister, przecież stoimy przed hotelem. Bilet i bagaż już czeka-ją... Bon voyage, i no już... Sio Mi stąd.

Wysiadłem i pojechałem dalej, zanurzając się w noc i Egipt tą 4 klasą osobową, co jest tylko o klasę wyżej od składu towa-rowego lub węglarki.

Być Bondem?¹



LONDYN
N51°30'48.91822" W0°9'25.38847"

#szosopasta na 1576 słów, 8 minut czasu czytania

Był czas (bo teraz już nie) kiedy byłem podobny (podobno) do Brosnana. Kiedyś, bo teraz już nie, bo teraz jestem podobno podobny do Santa Klausa.

Słowo o Miejsu Akcji.

Akcja tej akcji dzieje się, a jakże, w Londynie! W tych cudownych latach, kiedy mogłeś przejść cały internet i to dwa razy, a potem zgrać go na dyskietkę.

Na ulicy-rzece, gdzie wartki strumień nie zawsze bystrych

¹ <https://szosami.com/2024/12/07/byc-bondem/>

ludzi płyną w ściśle określonym kierunku, lecz niestety, nie przez nich określonym.

Nurt takiej rzeki, w takim czasie, jest niepowstrzymywalny, porwie wszystko. Jedynym wyjściem, by z tego jakoś wyjść jest w niego wejść. Poddać się i bezwładnie liczyć, że zanieś cie mnie więcej tam, gdzie chcesz się udać.

Ale ja nie poddaję się tej alei podtopionych. Nie mogę, stawiam tu opór, bo muszę. Gdyż czekam.

Podeszwami swych wiernych tenisówek zwiększyłem kont natarcia oraz tarcie poprzez o grunt się zaparcie. Haczyki trenowanych w Shaolin szponów obleczonych w tytanowe hybrydy wbiłem w ścianę, nacisk tłumu dociska mnie do fasady... lecz trwam.

Kto to wymyślił?

Kto i dlaczego umówił mnie na najruchliwszej ulicy znanego mi miasta świata w porze lunchu?

To Mamona, kasa do zarobienia, biznes do realizacji jest, tego mego oczekiwania, powodem. I TO arcydzieło myśli probiznesowej odbędzie się właśnie tu: w Mekce mody, ulicy najszykowniejszych sklepów, centrum biznesu, stolicy funta.

Kiedy tak czekałem, funt miał dobry kurs. To dokładnie odwrotnie niż ja, który aktualnie takiego dobrego kursu nie miałem. Do Londonium przybyłem splukany, splukałem z siebie kurz połowy przebytej Europy i chciałbym tylko szybko coś zarobić, splukać gardło Guinnessem i spływać dalej.

W jakieś tańsze miejsca, bo Londyn może fajny, może i tajny, ale na pewno nie tani. Na szczęście jestem do takich akcji stworzony.

Nie potrzeba w niej ani specjalnych kwalifikacji, czy unikalnych umiejętności, zbytniej bystrości też nie. Jedyne czego tu potrzeba, za czym zabijają się łowcy, naganiacze, i bystrocy eksperci to dziewiczego, nienotowanego w bazach danych, paszportu.

Dlatego właśnie stoję tu gdzie stoję, i o stan mego fizis od ludzkiego tarcia trochę się boję. Wytrwale trwam i oczekuję na spotkanie z bliżej nieznanym mi pośrednikiem.

Właściwie to zupełnie mi nie znanym, ale powiedzieli „Spokojnie Mi_ zostałeś mu dokładnie opisany, a z twoim wyglądem, o pomyłce nie ma mowy”. Skoro tak — jestem spokojny.

Dwa Zdania o Tle Akcji.

Ogólnie ludzki świat (jeśli w ogóle kiedykolwiek był normalny) zwariował dawno temu. Niedawno jednak (czas przeszły, czasownik mocno dokonany, lata 90-te) Daleki Ludzki Wschód zwariował na punkcie produktów luksusowej marki Louisa Vuittona.

Trochę to dziwne i z daleka zalatuje przekretem, bo przecież ten Naprawdę Daleki Wschód (do którego nawet najszybszymi żaglowcami płynęło się miesiąc) jest przecież epicentrum wszechświata podróbek. Mogą tam sobie podrobić, co tylko chcą, w dodatku za ułamek ceny, dlategoż więc oryginałów chcą?

Bądźmy poważni — w czym taki oryginał jest lepszy od podróbki? (Sam ostatnio widziałem na pocztce torebki Gucci za 60 zł i wiem, że w niczym! Jest ona nie do odróżnienia, po co więc przepłacać?)

Jednak, widać są różnice. Dla nieobytego z wielkim światem jak ja wieśniaka może nie ma, ale... Tam gdzie wizerunek jest wszystkim i „jak cię widzą, tak cię piszą” bystre oko zazdrosnego obserwatora, w mig wypatrzy nierówny logotyp, pomyloną interpretację ściegu, dowolność w kolorze, kroju czy doborze materiału. I nie zawaha się ich użyć. Tam błędów wizerunkowych się nie zapomina i z dziką radością — nie wybacza.

Drabina Społeczna Wschodu jest stroma, szczeble ma rozmieszczone szeroko, wspinaczka po niej mozolna i niebezpieczna, a upadek grozi śmiercią lub kalectwem. Dlatego jasnym jest, że wysiadając z ferrari czy innego rollsa z podrobioną torebką, można bardzo szybko spaść z tej drabiny.

Skoro to tak wygląda, to klient nasz pan!

Klient żąda, klient dostaje.

Louis V. bardzo chętnie spełni prośby BBA (Bajecznie Bogatych Azjatów), ale wery sorry — tu w głębokim ukłonie

w pas się kłaniamy w pas — popyt jest tak duży, że z produkcją tych luksów nie nadążamy.

Osobiście wiedząc, że popyt czyni cenę — mam podejrzenie i takie odnoszę wrażenie, że być może specjalnie się nie nadążają z produkcją.

Żeby cena była odpowiednio wysoka, musi być silny popyt a produktu mało. Skoro ostatnio jest silny popyt na Luisa V. wśród ludzi, którzy już dawno nie wiedzą, ile mają kasy, to podaż jest regulowana.

Nie moja sprawa, nie ładne, co ładne, tylko co się komu podoba. Ale to, co zmaciło mi mózg, a komunikacja synaps przez chwilę zamarła, to fakt, że w cudownej piękności salonie u Luisa Vuitton (w Londynie były wtedy takie tylko trzy) można sobie kupić te przepiękne produkty marzeń tylko raz na pół roku.

Tak, nie ważne było czyś Sułtan Brunei czy skromny posiadacz 16 kopalń diamentów w RPA — kupujesz raz na pół roku i tylko TRZY produkty na raz.

Tak, tak było i wtedy to nie był żart. Jak w PRL — reglamentacja, na talon, kartki... tzn. na kartki w paszport.

Przychodzisz do salonu Luis Vituą z brtisz funt pełną reklamówką. Oraz apetytem i widokami na zakupy. Zaraz przy wejściu ładnie Cię witają — Wilkomem panie Bogacz.

Potem snujesz się od niechcenia, wybierasz rozkapryszony, przebierasz urażony i jak już zbierzesz całą furę tych torebek, plecaczków, pasków i innych bibelotów bez których życie nie istnieje, udajesz się do kasy a tam grzecznie pada „passport please” — i przez chwilę pilnie sprawdzają czy jesteś uprawniony, i jeśli tak, to „herzlich willkommen” możesz sobie kupić co tam sobie wybrałaś, ale... tylko TRZY sztuki..

Z megafonu przerywane jakimś klimatycznym smooth jazzem, co chwilę leci że: „Atenszyn i Achtung: Pamiętaj Zakupowaczu, możesz nabyć aż trzy sztuki towaru. Po dokonaniu wyboru wyrobów prosimy udać się do kasy z kartą lub reklamówką i paszportem”.

Tam, po pilnej lustracji i akceptacji — stempel w paszport — KUPIONE, i Do Auf Wiedersehejna za pół roku!
Jak w PRL — jest kasa, jest chęć, tylko nie ma towaru.

I co z tą trudną sytuacją — legionu zrozpaczonych milionerek które bez „Luisa” nie mogą się pokazać na mieście, a na miasto nie wychodzi się dwa razy z tą samą torebką — A weź, ble! — robią przedsiębiorczy, bystro myślący ludzie interesu?

Ci Meni Biznesu będący ponad wszelkimi uprzedzeniami, kolorem skóry, orientacją seksualną i polityczną. Owi Pontifexi jednego wyznania, jedyne Boga: Zysku.

Godząc cierpienia BBA i pragnienia utrzymania wysokich cen przez zrozpaczonego, niewidzącego światła w tym tunelu Luisa, biorą na siebie wysiłek pośrednictwa oraz szybkie dóbr dystrybucji.

Robią to tak...

Trzy Podpunkty o Przebiegu Akcji.

Po Primo — wyszukują takich jak ja, nomadów świeżo przybyłych, z pięknymi, czystymi, nieszpecącymi Luisowych baz danych paszportami.

Nasi Przedsiębiorczy Przyjaciele mogą kręcić ten biznes teraz (to znaczy wtedy) gdyż nie ma jeszcze ultraszybkiego, światłowodowego internetu.

Komputery są, no jasne, przecież to 20 wiek!

Jednak sieciowych baz danych typu „chmura” jeszcze nie ma i kiedy odwiedzasz przecudnej urody (niczym poczta na ulicy Długiej) Saloon Luisa V, to wbijają tam twoje paszportowe dane do komputera, by, po paru godzinach (jak się tego nazbiera więcej), na dyskietkach (taki średniowieczny pendrive) przewieźć je do kolejnego LV Saloonu (w Londonium są trzy), aby tam zaktualizować bazy i żeby tam też wiedzieli, że już mogą cię grzecznie i uprzejmie nie obsługiwać. Spławić — do widzenia za 6 miesięcy.

Po Sekundo — jednak zanim twoje (moje) dane dotrą do pozostałych sklepów, ty (tz. ja) wynajętym busikiem, w zorganizowanej akcji (gdyż jest to biznes kręcony na skalę maso-

wą) razem w wieloma innymi, po zakupie w pierwszym sklepie jestem przerzucany do tego kolejnego sklepu szybciej niż wszelkie cyfrowe dane.

I co dalej? Tak! Znów Kupujesz, Kupujesz, Kupujesz. Genialne zagranie.

Wszędzie BBA zabijają się za oryginalnymi torebkami, portfelami, plecakami tego Luisa V. Zapłacą każdą cenę za oryginał, nawet i potrójną. A tego towaru wiecznie jest za mało.

Szuka się więc Zapyziałych Zakupowiczów, którzy za małą prowizją nakupią u Luisa tych trzech towarów. „Bierz więc zwitek i ćwierć funciaków, leć do salonu, pokaż karnie paszport i kupuj, kupuj, kupuj bezkarnie”. Poczucie się jak milioner gratis.

Po seicento — kupujesz, bierzesz paragony, rozliczasz się z reszty i towaru, otrzymujesz prowizję za półtorej godziny roboty za którą to co sobotę w Lidlu teraz to ty musisz płacić. I już po chwili towar, legalny, oryginalny i irracjonalny, przemieszcza się do Hong-Kongu czy innego Singapuru. Geniusze! Czy są tu jakieś słabe punkty?

Cztery Cieakowstki o Uczestnikach Akcji

Wracamy na Oxford Street bo ja nadal tam stoję i czekam. Stoję i czekam, kotwica trzyma, ale coraz słabiej, gdyż nie ma takiej hybrydy która zwycięży z lunchem (a jego pora nadciąga). Żar od tarcia tłumu się wzmacnia. Hybrydopaznokcie szorują po fasadzie.

Obok mnie jakiś gościu także stoi, również walczy z falą.

Jak ja czeka, pilnie się rozgląda, kogoś szuka. „Zostałem mu dowodnie opisany” więc gdyby szukał ten obok szukał mnie, to by mnie — stając obok — znalazł, tak dumam.

Czyli — domniemywam — że do tej samej akcji najęty też na pośrednika czeka.

Stoję. On stoi. Stoimy.

Czas minął i nikt nie przybył. Prąd ludzki zaczyna mnie niebezpiecznie przesuwac w stronę kolegi obok, który, widząc już dobrze, też jest lekko wkurwiony. To już pewne: obaj cze-

kamy na tego samego typu, a ten nas wystawił, bo nie przyszedł.

Opieram się już nie rzece a oceanowi ludzkiemu, który się wzmaga, i niebłagalnie, zostawiając rysy na ceglanej oficynie, przesuвам się w stronę kolegi. I wtedy słyszę, bo jestem już blisko, dzwonek telefonu tego ziomala obok. Kolega jedną ręką trzymając się parapetu, drugą odbiera i najczystsza polską polszczyzną drze się do mikrofonu:

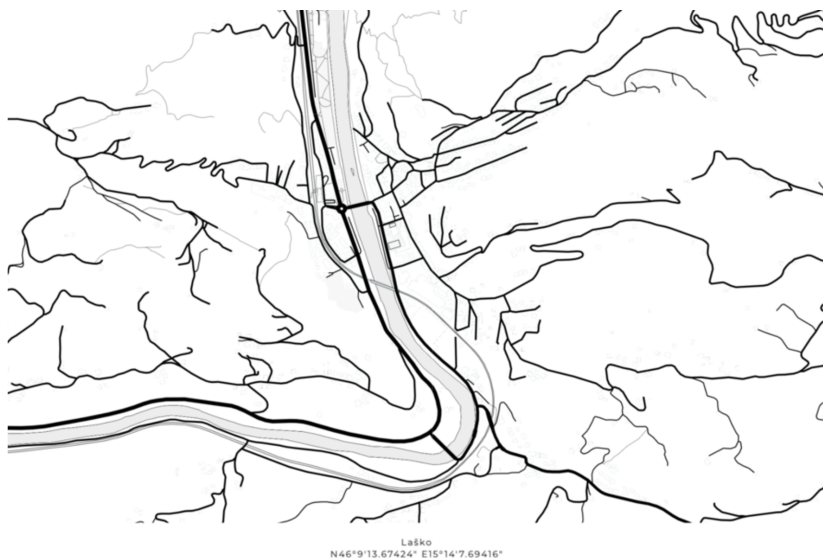
— Kurwa, nie ma go! Wiem, że czas już minął i wiem jak wygląda „Typowy Polak”, ale nikogo takiego tu nie ma! Stoi obok jakiś angolski Bond, a tacy torebek raczej nie kupują!!!

To — jak się po chwili okazało — było o mnie.

So... to jak to jest być Bondem?

Cóż, Bardzo krótko. I bardzo śmiesznie.

Elastyczność¹



#szosopasta na 1506 słów, 8 minut czasu czytania

Kiedy 15 godzin temu ruszałem w kolejną misję, było ciemno, zimno i padało. Teraz jest tak samo... plus mgła. Czas wykazać się elastycznością i przenieść gdzieś indziej. Może na jakieś plaże, ciepłe morze i jeszcze zimne piwo... może?

Tak, czas na kolejne przygody Agenta Specjalnego 5 grupy inwalidzkiej, przy którym Johnny English jest jak Bond przy Kolargolu. Tym razem wichry namiętności rzucą nas

¹ <https://szosami.com/2024/12/04/elastycznosc/>

w objęcia Japonii... tzn. Słowacji... a konkretnie Słowenii, bo w życiu trzeba być elastycznym.

Trzeba mieć plany, plus jakiś mały planik awaryjny i wyjście bezpieczeństwa, ale dobrze jest też zbytnio się do nich nie przywiązywać. Życie potrafi zaskoczyć nam rzyć, a wtedy trzeba działać proaktywnie, wykazać się inicjatywą i elastycznie dopasować się do sytuacji.

Tak jak jeden gość w Japonii, reporter. Pojechał z okazji Igrzysk (Igrzyska to jest to wszystko, co nie jest Olimpiadą) do Kraju Kwitnącej (pod okiem) Wiśni i tam, w pociągu, zostawił plecak.

Ze wszystkim, co miał: dokumenty, instrumenty, kasa, tasak, sprzęt do reporterowania i akcesoria do raportowania. Trudno mu się dziwić — tam pociągi są tak szybkie, że jak wstał i udał się do wyjścia, żeby wysiąść, to zanim dotarł do drzwi, nasz nieprzyzwyczajony do tej kultury biały człowiek był już na kolejnej stacji. Nim pomyślał „WTF?” i zrozumiał, co się dzieje, już była następna. Więc jak już wysiadł i kolejnym pociągiem wracał, to tak się spiął, żeby utrafić, iż dobrze wysiadł, brawo... ale bez plecaka.

To był Europejczyk, w dodatku zPolski, więc na podstawie wcześniejszych doświadczeń stwierdził: dobra, już po plecaku, poszło się w pi... u i ebać. Smętnie siadł, zadumał się i wpadł na pomysł: pójdzie na posterunek policji zgłosić swoje pobicie i zaginięcie, nieprzygotowanie do zajęć, i najlepiej niech go od razu zamkną. Bo jak ma tak wrócić do domu... to wolałby nie wracać.

Taki plan: niech go zamkną, na tak długo, aż śmiech przycichnie, a jak nie, to niech zetną mu od razu łeb mieczem, bo niehonor dłużej tak żyć.

Wchodzi na posterunek, a tam się gną w ukłonach. No to on również, bo kulturka musi być.

Ten nasz Zpolski Gościu po japońsku no parlando, oni po polsku tak samo, a razem po angielsku coś mówią, tylko że każde innymi dysponuje wyrazami. Znam ten ból, weź się

tu gdzieś spotkaj na tych językowych rubieżach, współczucia ślę wyrazy.

Gną się więc i tak, każdy do siebie, dyskutują:

— Gnę się w ukłonach i od razu mówię: po Gaijińsku nie mówię.

— Gnę się w ukłonach, nie wiem, co mówisz, bo po japońsku ja nie mówię, ale jest taka sprawa, że zgubiłem plecak w pociąg, no i kicha (a psik).

— Gnę się w ukłonach, ale jak już mówiłem, nie mówię po polsku, lecz domyślam się, że pewnie to ty jesteś ten obcy, co zostawił plecak w pociąg i na zdrowie (bo kicha).

— Gnę się w ukłonach i pytam, jak umiem na migi, co by tu zrobić, żeby pójść na jakieś 10 lat do waszego więzienia, bo słyszałem, że tam warunki dobre. A chciałbym, żeby sprawa trochę przycichła, gdyż zgubiłem wszystko, co miałem. Nie będzie transmisji, z igrzysk emisji, i jest właśnie po mojej misji, a w domu czeka na mnie tylko dymisja, a zaraz potem eksmisja. Przy tym „Sexmisja” to mizeria.

— Gnę się w ukłonach i gdybym cię rozumiał, i wiedział, co ty tam mówisz, to bym ci powiedział, że domyślam się, iż masz przerąbane, bo zgubiłeś wszystko, co miałeś ze sobą, i w domu czeka cię dymisja i eksmisja. Pewnie chciałbyś jakieś 10 lat przeczekać u nas, najlepiej w więzieniu, bo mamy super warunki.

— No i co teraz? Bo już nie mogę się dłużej giąć, a nic nie rozumiem.

— No i co teraz? Bo widzę, że nie możesz się już dłużej giąć, a ja nic nie rozumiem.

— Dobra, widzę, że nic z tego, to idę umrzeć pod mostem.

— Dobra, widzę, że masz ochotę iść umrzeć pod mostem. Proszę, oto twój plecak.

Bo to była taka elastyczna taktyka. Już wcześniej okazało się, że gość zostawił ten plecak. A ponieważ pociągi w Japonii są szybsze niż światło, to zanim nasz bohater doszedł na posterunek, plecak został odesłany najbliższym transpor-

tem. Bo w Polsce najszybszy transport ma Mle-Ko, a w Japonii Ple-Cak i Sa-Ke.

Oni, Komisariaci, gięli się tak w ukłonach, żeby elastycznie przeciągnąć czas, aż ktoś ten tobolek przyniesie z dworca. Nasz uratowany przyjaciel tak się wzruszył, że aż głową ruszył i wydukał z siebie po japońsku:

— A JAK TO TAK TO, TO DZIĘ-KI I NA-RA!

Japoński posterunkowy zaś również umiał się znaleźć. Poruszył palcem w japonce, przypomniał sobie, jak kiedyś jadł w jednym barze i byli tam jacyś turyści, chyba właśnie z Europy. Zaryzykował więc:

— KU-RWA-MAC!

I to jest elastyczna kreatywność! A nie od razu, że do więzienia albo ściąć łeb i luz.

Tak, Japonia to dziwny kraj. Niby się wyludnia, na wsiach posiadłości popadają w ruinę, a w mieście ludzie się cieszą, jak mają metr kwadratowy, na którym mogą się zwinąć w kłębek o drugiej w nocy, zaraz po robocie. A jutro to wbijacie na imprezę. Mam JAKO TAKI metraż, ale spoko, naprawdę, wszyscy się zmieszczą!

Albo jedzenie. Mają takie, że na wszelki wypadek przed zjedzeniem dobijasz to pałeczką (bo nie wiesz, co to jest, wybierałeś przecież po obrazkach a ciągle się rusza). A potem się okazuje, że najlepsza zupa świata to z Japonii — ramen — i na wieki wieków. Ale nasza tu akcja dzieje się w Słowenii (tak, taka Słowacja, tylko że niżej... jeszcze niżej). Dlaczego więc wspominam o Japonii, skoro jesteśmy w Słowenii?

A... bo najlepszy ramen (na wieki wieków) jadłem w Słowenii, a trzeba być elastycznym. Różne — życie, jak i ta opowieść — przynosi nam niespodzianki. W różne części świata nas nosi i nawet najlepszy plan trzeba czasem wsadzić sobie w rzyć i zacząć improwizować. Elastyczność i gibkość: w życiu, w kroku, na obiekcie oraz w terenie. Gdyż nawet najlepszy plan może nie wypalić. A ja, w tej Słowenii, miałem najlepszy, a nawet bardzo dobry plan!

Uknułem go w moim posępnym, ale genialnym umyśle zaraz po tym, jak się zorientowałem, że ukradli mi kurtkę w pociągu. Z gore-texu była i aż gorę tu textem, jak myślę o tym rozbójniczym akcie. Oj gnoju, jeszcze cię nie złapałem, a już mi cię żal.

Kiedy wysiadłem z pociągu na tej małej, słoweńskiej, górskiej stacyjce, niemal od razu zorientowałem się, że coś jest nie tak. Deszczem zacina, wieje mi po karku i nerkach. Jakież mam dygoty i dreszcze, jakoś mi zimno... i co, kurwa, jeszcze? Coś się tu mocno nie zgadza, i wtedy się zorientowałem — przecież nie mam na sobie kurtki!

Ach, więc to tak. Wysiadłem z pociągu bez kurtki. A ponieważ jestem czujny i precyzyjny jak saper i bibliotekarka w jednym — to jest tylko jedno wytłumaczenie: musieli mi ją ukraść!

Plan odzyskania mienia wykrystalizował się szybciej, niż trwał udział Rutkowskiego w Tańcu z Gwiazdami.

Jestem obywatelem świata, znam nie takie ja zadu... kątki. Ogólnie wiem, o co tu kaman, i zwyczajnie niezły ze mnie agent, więc od razu dopasowałem sposób działania do lokalnej kultury, waluty, systemu energetycznego i infrastruktury.

Teraz powiem tylko tyle: będą cierpieć. To jest Unia. Tu chwilowo nie ma problemów z prądem, nie tak jak w krajach trzeciego świata czy coś lajk dys, gdzie czasem przychodzi nam działać, więc i improwizować.

Gdzie musiałbym skombinować taksówkę, żeby z niej wyciągnąć akumulator, oświetlić sobie miejsce przesłuchania i dodać trochę energii przy pomocy elektrod, podpiętemu do niego interlokutorowi. Tu będzie łatwiej. Ot, zwyczajnie wybijam na dworzec, wywlekam z kanciapy zawiadowcę, profilaktycznie ładuję mu z bańki — kontakt fizyczny zawsze przełamuje pierwsze i wszelkie inne lody.

Kolejne kroki mego planu: kraj jest z informatyzowany, włamuję się więc do kolejowego systemu informatycznego, znajduję monitoring z mojego pociągu, przeglądam kamery zainstalowane w wagonie. Błyskawicznie odnajduję tam siebie,

analizuję obraz, z miejsca wyszukuję złodzieja, a w bazie danych twarży Interpolu dopasowuję ten jego złodziejski ryj.

Potem już z góry: znajduję jego numer, lokalizuję jego smartfona, łamię zabezpieczenia, piszę wiadomości (żeby go zagadać), a w międzyczasie jadę na miejsce lokalizacji. Już jestem obok. Już powinien czuć mój oddech (ma ktoś TikToka?). I w końcu dzwonię do drzwi, a on odbiera...

Nie, nie, to żart. Jak odbiera, jak obie ręce ma już złamane?

Teraz grzecznie (przypominam: zawsze grzecznie!) proszę go o zwrot mienia. Oczywiście, zdając sprzęt, błaga o litość i wybaczenie. Ja, no cóż... ja do ciebie nic nie mam, chłopcze. To swego Boga prosz o wybaczenie, ja wam teraz tylko zorganizuję spotkanie.

Taki mam plan... i to jest TEN PLAN!

Może będę musiał być elastyczny, coś modyfikować, zmieniać strategię i kluczyć, ale jedno wiem: będę bezlitosny.

Głową tu rękę, skopię im tyłki jak w Shreku schodom Osioł poręcze!

„Ale będzie jatka, no będzie rzeźnia normalnie!”

Prościzna, czas więc na start.

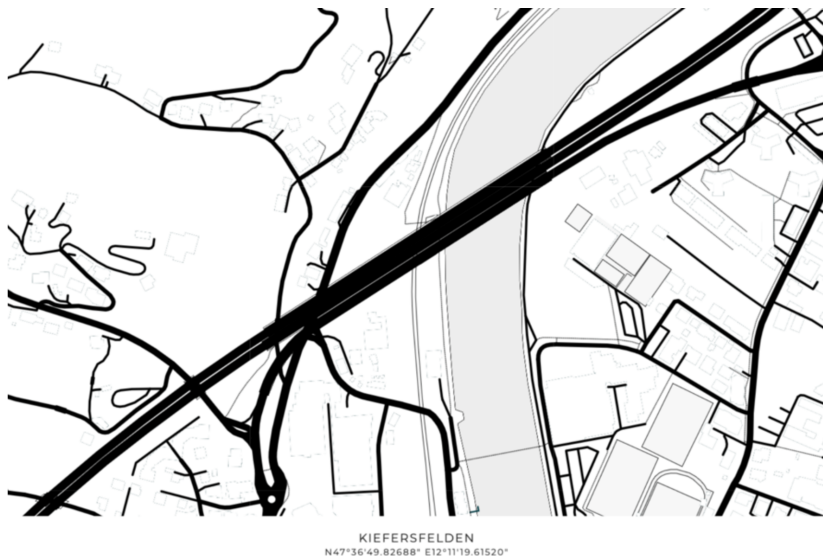
Wbijam na dworzec, wyszukuję — planowo — zawiadowcę i już do niego uderzam. A ten, jak tylko mnie widzi, szczerzy się jak łysy do sera i woła:

— O, ale super, że pan jest. Tak się zastanawiałem, jak tu pana odszukać, bo, wie pan, z pociągu dzwonili, że taka gapa i kurtkę pan tam zostawił. Ale już ją przekazali i ładnie poskładana, żeby się nie wybrudziła, jedzie tu składem powrotnym i zaraz będzie!

— **Y... No to ten... SAJONARA! — odpowiadam.**

Gdyż elastycznym trzeba być!

Myrmidon¹



#szosopasta na 849 słów i 4 minuty czytania

Schengen to miasteczko w południowo-wschodnim Luksemburgu. Leży sobie fajnie na styku granic trzech państw — Luksemburga, Niemiec i Francji.

Stało się sławne w 1985 roku, kiedy to na statku Princesse Marie Astrid na rzece Mozeli napisano pewien traktat. Traktat pod tytułem „Układ z Schengen” traktuje o tym, że obywatel jednego z aktualnie 27 (ale na pewno już niedługo, bo kto by chciał w tym siedzieć) krajów Unii Europejskiej — instytucji

¹ <https://szosami.com/2025/02/05/myrmidon/>

diabolicznej, wymiotu Szatana i Stalina, przedłużenia Związku Zdradzieckiego, emanacji wszystkiego, co złe i idź pan w chuj z taką robotą — może swobodnie podróżować po całym tym związku.

Nie wie, jakie to błogosławieństwo ten, kto nie stał zimową, górską nocą na granicy z Czechosłowacją, czekając sześć godzin w nieogrzewanym autobusie, aż wielmożny WOP-ista się pofatyguje. I nie mogłeś mu wtedy powiedzieć: „Są jakieś granice!”

Przeżyłem takie długie i nerwowe oczekiwanie nie raz i teraz, kiedy o przekroczeniu granicy informuje jedynie operator telefonu komórkowego, nieodmiennie wzbudza to we mnie fascynację, ekscytację oraz kreatywną improwizację naprędce skleconych inwektyw w kierunku kretyńskich kreatur, które chcą to zniszczyć...

...Gdzieś w środku tej upadłej i przegranej instytucji, z którą jedno państwo, pod postacią szydła, potrafiło wygrać aż 1 do 27, jest Droga. Wiedzie ona z Austrii do... Austrii. I tu taki mały myk: zamiast bujać się naokoło, nadkładać kilometrów, zasmradzać Alpy swym przeklętym dieslem, można nią — dzięki UzS (Układ z Schengen) — ciąć sprawnie i szybko na przeprostki. Z tej Austrii do tamtej Austrii, przez... no znowu trzeba poprzeklinać... przez Germanię!

Na szczęście przeważnie to nie jest żaden problem. Często nie ma tam tłoku i stoi ona cała opustoszała. A to dlatego, że wszyscy Niemcy (sam widziałem w Wiadomościach) spiskując i knując, zamiast siedzieć tam u siebie, atakują opływającą w dostatki i Lidle Polskę.

Tak tam, w okolicach Monachium, jest, a raczej było: pusto, siermiężnie, skromnie i herzlich willkommen. Do tego stopnia było herzlich i willkommen, że teraz całe grupy terrorystów — jak kiedyś Hunowie, tylko na odwrót i bez słoni — atakują tamtędy biedne Niemcy od południa. Całą dobę. Właśnie tam, po przekroczeniu Alp, wbijają oszalałe tabuny, by zając co lepsze miejscówki pod dworcami i, wypełniając wnioski o przydział sutych zapomóg za nicnierobienie, doprowadzać Unioeuropejczyków do upadku.

Niemcom to — poza kebabami — od czasu do czasu bardzo nie w smak. Robią więc co jakiś czas lotne blokady tamtejszych granic. Stawiają wtedy czołgi i słupki w poprzek autostrady i wyrywkowo zapraszają kierowców do kontroli.

O nie, nie, żadnej chamowy i wywlekania szoferów i szoferek z szoferek. Pełna kulturka. Jesteśmy w Środkowej Europie, to nie jest Dzikie Zachód czy Barbarzyński Wschód.

Jechałem właśnie tamtędy razem z kolegą, kiedy tym całym „Niemcom” zachciało się urządzić blokadę.

Na prawym pasie — ze sto tysięcy tirów, powoli sunących przed siebie niczym stado mastodontów na wypasie. Na lewym — po horyzont suną pozostałe krnąbrne jednostki, które nie mają nic do roboty, tylko się bujać po Europie.

A na środku drogi stoją Polizei z grupy „Już Ja Cię Terrorysto Wytropię”, wspomagani przez GSG 9 der Bundespolizei — Grenzschutzgruppe 9, i wyrywkowo, według klucza znanego tylko wybitnym kryptologom, teoretykom matematyki od poziomu Zdobywca Nobla w górę lub Fibonacciemu (którego dzisiaj dzień obchodzimy!) co jakiś czas jedno z aut jest proszone do wyrywkowej kontroli. Nie ma, że boli.

Podjeżdżam i... dziwne.

Przepraszamy, ale na boczek zapraszamy akurat mnie!

Zjechałem w zatokę, a przed mi maską, z miną uprzejmie obojętną, stanął mi Człowiek-Góra. Kurde, ten facet, co to go łatwiej przeskoczyć (pod warunkiem, że masz tyczkę) niż obejść, przyprawiłby o kompleksy graczy NBA, i to tych największych. Stoi i mega wyluzowany trzyma palec w okolicach spustu czegoś działopodobnego, typu... ja wiem... Vic-kers?

Podczas sprawdzania naszych dokumentów mam czas, żeby się przyjrzeć temu potomkowi Wikinga skrzyżowanego z Goliatem, Obelixem i domieszką Myrmidona.

Tak patrząc zauważam, że: ów Myrmidon i jego kumple są, kurwa, uzbrojeni po zęby. Jakby mieli zabić kilkadziesiąt osób na tej drodze, i to tylko po drodze do wychodka i z powrotem.

Spotkałem już kilku takich paranoików podczas swych podróży i niespecjalnie za nimi przepadam. Takie nastawienie trochę za mało przypomina mi chęć do ugodowych negocjacji.

Patrzę na tego Człowieka-Czomolungmę i dumam: Pewnie wypieszczony Heckler & Koch, który ma ukryty z tyłu w pasie, uwiera go w plecy. Zaraz go wyciągnie i wetknie do kieszeni. Ale wtedy uczucie dyskomfortu przeniesie mu się na sztylet Marine Raider między łopatkami...

Szybka kontrola — pobrano mi DNA, kilka innych próbek z kilku innych ciekawych miejscówek, odpytano nas w pięciu językach i na migi ze znajomości genealogii do czwartego pokolenia, przeglądnięto skoroszyty listów gończych z ostatnich 30 lat i porównano nasze twarze z bazą danych znanych terrorystów oraz mistrzów miecza, począwszy od Hasana-i Sabba-ha...

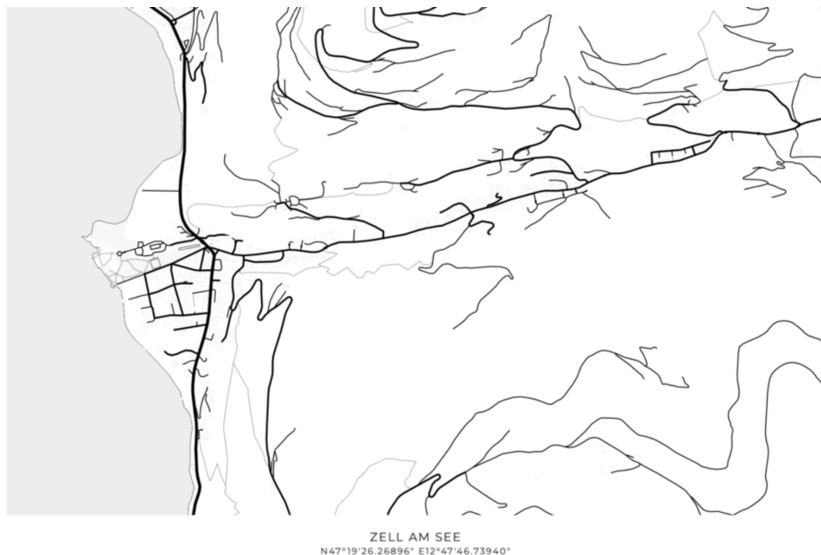
No naprawdę, kto to widział tak traktować rodowitych Polaków, z dziada pradziada Unioeuropejczyków!

Kiedy w końcu okazało się, że jesteśmy spoko i mogliśmy jechać, zdziwieni i oburzeni spojrzeliśmy na siebie.

Ja na zarośniętego aż po piwne oczy, czarną, gęstą brodą i modnie na brązowo (po wakacjach na Malediwach) opalonego kolegę z środkowej Polski. A on na mnie — nieco skośnookiego i dzikookiego, suto okraszonego siwizną, o trudnej do sprecyzowania, a wyraźnej aurze „lepiej mnie nie wkurwiał” typu południa Tejże Polandi.

No naprawdę, nie rozumiem o co im chodziło... „Ale głupi ci Rzymianie!” (Asterix i Obelix)

Morsowanie¹



#szosopasta na 918 słów, 5 minut czytania

Badania przeprowadzone na Antarktydzie pokazują, że nie ma już żadnych szans na przetrwanie niektórych lodowców.

A lodowiec Thwaites, uroczo nazwany „lodowcem zagłady”, „trzyma się już ino paznokciami”. Ten, skromnej wielkości połowy Polski, lodowiec znajduje się na Antarktydzie Zachodniej i, niezależnie od tego, jakie działania podejmie ludzkość, trzeba się liczyć z konsekwencjami jego rychłego rozpadu.

¹ <https://szosami.com/2025/02/23/strumyk/>

Bez paniki! To, póki co, odległa południowa strona globu, który, jak sama nazwa wskazuje, jest płaski, więc nie ma się co martwić — cała nadmiarowa woda spadnie sobie w dół, na słońce lub na żółwia (zależnie od wierzeń).

Nas tu, bardziej interesuje część północna, gdzie ludzkość, w ramach pomocy arktycznym zwierzacom, postanowiła gremialnie i solidarnie „morsować”.

Polega to na tym, że udając morsy (które przeważnie siedzą sobie na krach), siedzi się w wodzie.

Spoko, siedzenie w wodzie zawsze jest dobre, ale... dlaczego ludzie „mordu... morsują” się w zimie?

Sprawa „Morsuję się dla Instagrama i Planety” przecież jest poważna, w słusznym celu robiona, dlaczego więc idą na łatwiznę i taplają się w wodzie zimą?

Nawet przedszkolak wie, że woda wrze w 90 stopniach, a lodowacieje, zmrożona zimnem, w okolicach 0.

A skoro tak — jak jest zima i na zewnątrz MINUS 10, to „morsownik” pakuje się do wody, która ma ze 2 stopnie ale In PLUS.

I potem przedstawia się w necie dowody swej mężności i odwagi...

Ja się pytam: co to za hardość, możność i morsność, jak się z zimnego wchodzi do ciepłego?

Zimno i piździ na powietrzu, więc bach — w ciepłą, spokojną wodę? I oklaski?

No naprawdę — pokłony!

W dodatku, żeby nie było za zimno temu, co pozostało na świeżym powietrzu, bo w wodzie przyjemne ciepło, to jeszcze czapka i rękawiczki?

Nie no, pliz... Ależ mi to wyczyn! Ale pomoc uciśnionym gatunkom!

Jeśli naprawdę chce się „morsować” przez duże MORS (Marznięcie Okrutnie Rozbójniczo Straszliwe), to proszę bardzo — róbmy to w lecie!

Kiedy na zewnątrz przyjemne plus 35, w rękę drink, opalenizna ładnie układa się z przodu na „hadronie”, i wtedy do wo-

dy +2 wchodzimy. Bo w zimie... phi, w zimie to jak do sauny wejść — żadna sztuka!

Jak to zrobić profesjonalnie?

W podpunktach wypunktowane w punkt:

1. Przygotowania

Czekamy do lata, aż temperatury osiągną założoną wysokość. Zdajemy do kolejnej klasy, a butelki do skupu (to w celu pozyskania środków na ten szczytny cel — za Zdanie 50 zł od Babci, za zdanie — 25 zł od skupowej). Zjada się obiad — trzeba myśleć strategicznie, nigdy nie wiadomo, kiedy będzie następna okazja.

Bierze się wór, a do niego wkłada śpiwór, a pod pachę namiot. Kilka kanapek z serkiem topionym (topiony — to ważne, bo jest już wstępnie przygotowany na trudy wyprawy) i, dla utrzymania się w klimacie, „Potop” Sienkiewicza.

2. Trasa

Ruszamy na południe gdzie temperatury wyższe, i w górę gdzie wody trzymają temperaturę niższą. Dla zmyłki przeciwnika (prawdziwe instagramowe Morsy robią już sobie selfie z kolacją), startujemy autostopem i pod wieczór... I już niebawem, gdzieś w okolicach Cieszyna, łapie nas noc. Każdy wie, że po ciemku się nie jeździ, nocujemy więc gdzieś w zrujnowanym budynku przy granicy. Dla wstępnej zaprawy i oszczędności środków — pod gołym niebem i na glebie.

Od rana — już pełna profeska. Po otrzepaniu się z gruzu, kurzu i tego, czym gołębom udało się w nas trafić, ruszamy z przytupem — przygoda czeka, a klimat nie.

Strategicznie, dla zatarcia tropów, przekraczamy granicę z buta, potem 15 km piechotą wzdłuż drogi bo nikt nie chce zabrać, w końcu do Brna jakimś cudem. Potem kilka godzin opalanka oparami wozów w słońcu przy obwodnicy, krótki przelot Peugeotem 204 z tenisistą, co się ulitował, jeszcze kilka szybkich zmian pojazdów w celu zmylenia przeciwnika

i w końcu — gdzieś o 3 rano, po 36, 52 czy 176 godzinach jazdy — jesteśmy na miejscu.

Przytulny park w Salzburgu czeka zamknięty, by przeдрzeć się do niego przez płot. Krzaki, starannie wypielęgnowane trawniki i żeliwne ławki oczekują. Miły snów.

3. Wstępne przygotowania

„To są Alpy, tu się oddycha”. Wybór nie był przypadkowy (najlepszy stosunek wysokich do niskich temp.), więc teraz trzeba znaleźć odpowiednie miejsce do akcji „Sejf das Planet” (to z niemieckiego — jesteśmy w Austrii, a sejfy blisko, bo Szwajcaria za rogiem).

W tym celu udajemy się w okolice przepięknych dolinek alpejskich i taktycznie rozbijamy tam Bazę — namiot chiński, dwuosobowy, beztropikowy, obok jeziora tak lapis-lazuliowego, że okoliczne stoki traw jak grynszpan mknące w górę ku modremu niebu — zielenieją butelkowo z zazdrości.

Baza rozbita. Przytulnie, w głębi lasu, obok bieżącej prosto z gór wody typu „strumyk płynie z wolna”, osłonięta przed mściwym okiem rządnych naszej porażki Zimorsów i funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa zwanych: Policaj.

4. Aklimatyzacja

Z tym jest najciężej. Nie zapominajmy — to są Alpy, czas letni, wakacje — tu się, z powodu cen, tylko oddycha!

Bo ceny w knajpach — kosmiczne! A zdanych butelek były ilości komiczne. Teraz widać wyraźnie tę pomyłkę w literówce.

Mimo wszystko i wszystkich środków jakoś udaje się aklimatyzować do popołudnia. Pogoda, która jest w górach, jak kobieta w dolinach — zmienną, pokazała na co ją stać — w czasie taktycznej aklimatyzacji zaczęło padać dość mocno. My nie chodzimy na łatwiznę i jak nie jest conajmniej 30 na plusie to nas takie eksperymenta nie obchodzą, dlatego idziemy spać.

Czas wracać na Bazę, przeczekać do rana, może na pewno się ociepli, i mozolnie zaczniemy tę akcję specjalnej troski.

Podchodząc, już z daleka, ma się dobry widok na te 5 centymetrów namiotu Bazy, co po opadach wystaje z wody.

I właśnie wtedy, jak się wejdzie do wody, która spłynęła prosto z lodowca i ma z minus 50. I właśnie kiedy musi się w niej pływać, by wyłowić smętne resztki swego dobytku i Sienkiewicza. Właśnie wtedy (nawet mimo, że nie jest plus 35) dowiadujesz się, co to jest prawdziwe Morsowanie.

SzusaMi¹



#szosopasta na 1053 słowa, 6 minut czasu czytania

Czym się różni „szosowanie” na letnich 18-kach od „szusowania” na zimowych carvingach w zimie?

Poza literką jedną, w moim wypadku — curven — niczym.

À propos zimy i szusowania. Kiedyś, w dobie dwóch programów w czarno-białym telewizorze, do domu wracało się za karę, a w zimie zmarzniętego już na kość delikwenta, odносили — ci co mieli jeszcze jakieś luzy w skamieniałej odzieży — tylko ciut mniej zamarznięci.

¹ <https://szosami.com/2024/11/26/szusami/>

À teraz?

Dla młodzieży zima trwa pół roku, i to jest doskonały pretekst do zimowania w le burdel (jak pieśzcotliwie nazwy się ich jamo-pokoje). Wyjść z pomieszczenia o temperaturze dodatniej (bo pokojowej), ale o ujemnym zapachu, na tak niehumanitarne, ekstremistycznie eksternistyczne warunki można, owszem, ale są „oboszczenia”:

Przemknąć do auta można, jeśli jest gdzieś niedaleko, max 10 m od wejścia. Podejść do galerii handlowej czy Żabki, owszem, jeśli to jest góra 5 minut z buta albo przystanek autobusowy w zasięgu wzroku i pełny zimowy rynsztunek bojowy. Podejście zimowe pod szkołę zawsze wiąże się z najwyższymi stopniami... zagrożenia i jest relacjonowane live w sieci.

Jest tylko jedna jedyna sytuacja, kiedy młodzież w zimie wytrzyma 3 godziny, a nawet 3,5 na świeżym powietrzu, bez smartfona, marudzenia i, przede wszystkim — w ogóle. Słyszało się też o hardcorowych, niehumanitarnych twardej wyjątkach, co wytrzymują i cały dzień (nikt takiego nie widział, to legendy). W każdym razie ja nie spotkałem. Pewnie są w stanie tyle znieść i nie zejść, bo są ze znajomymi i dziewczyny patrzą.

A ta ekstremistyczna, wyjątkowa zimowa sytuacja to: Szusowanie. Tak, w czasach beztrzepakowych podwórek, bezprzewodowych komórek, tanich furek i bezlimitowych internetów, narty czy deska to jedyna opcja kiedy nastolatki wyleżą ze swych gawr na straszliwie, niehumanitarne, morderczo trudne warunki zimowe: słonecznie, 2 stopnie „na plusie”, śnieg, brak wiatru i bezchmurnie.

Dodatkowo, żeby młodzież miała (choć teoretycznie) szanse na wyjście, pójście i zjazd, trzeba dać im przykład. Aby ich wziąć i wyrwać z multiwersum światów bez praw fizyki a pełnych zer i jedynek, trzeba samemu umieć jeździć na tym cholerstwie. A żeby umieć, trzeba się nauczyć. Postanowiłem więc dać przykład i zostać nauczonym. Z pomocą natychmiast nadciągnęła zgraja pomocnych nauczonych wcześniej naukowców.

„Nauczymy cię Mi_, jedź z nami, a będziesz jeździł, jak My!”

Pojechałem, gdyż, skoro tak radzą znawcy i specjaliści, to chyba wiedzą, o czym sobie tam radzą. Nawet do głowy Mi nie przyszło, że po prostu potrzebowali kierowcy i żeby się do rzucić do hotelu. 1300 km, mało to nie jest.. i nie tanio.

Na miejscu, po moim profesjonalnym Szosowaniu, a przed Szusowaniem, pojawiła się też ekipa Chojraków-Strażaków. Najlepszych narciarzy wśród straży i najlepszej straży wśród narciarzy. Przyplątali się skądś, na kielicha przyszli po sąsiedzku, czy coś. Starzy narciarscy wyjadacze, pasjonaci, mocni zawodnicy. Kiedy wieczorem przy wódce dowiedzieli się, że to moje pierwsze szusy... jedyne co udało się im wykrztusić to „ale ten..., że TU się będziesz uczył?”

Cóż, dość powiedzieć, że już dawno nie widziałem, żeby stare, twarde chłopcy płakali. Tak się popłakali ze śmiechu i nie było takiej ilości alkoholu, która by ich uspokoiła. Zostałem ich idolem, bożyszczem tłumu, maskotką tych igrzysk, ale jeszcze nie wiedziałem, dlaczego.

Ok, a rano, po 40 minutach zakrętów, serpentyn, spiral i wiraży pełnych zimowych wrażeń — jesteśmy na miejscu. Góry lubię, gór się nie boję, więc bez jeszcze żadnej zwłoki stajemy w pełnym rynsztunku do kolejki — do kolejki. Widoki bajeczne, i już po 60 minutach i 18 przesadach na coraz wyższe kolejki, jesteśmy na szczycie.

Cały szczęśliwy myślę „Tu, kolego, zaczyna się początek końca pewnego etapu twego nędznego żywota, nic już nie będzie jak dawniej. Już nie będzie Człowieka_co_na_nartach_nie_jeździł”.

A potem mi pokazali, gdzie mam jechać.

A Mi_ w śmiech — Ale, że co? To tam w przepaść mam spaść? Patrzę w dół i widzę, no wyraźnie widzę, że nic nie widzę. Kurwaką prosty!

„Przepraszam, pożycz mi ktoś czekan? Gdzie są liny wspinaczkowe? To jest trudność 16+? To zawody wspinaczki ekstremalnej? Szkoła zjazdów na linie dla Strażaków Ekstremalnych? Po co wam tu narty? Ktoś ma zapasowy spadochron? To my tu przyszli się klimatyzować przed Himalajami?”

Cóż, jednak każdy śmiech kiedyś się kończy. Otarłem łzy, patrzę wkoło półprzytomny, a ci ludzie, ciągle bez żenady i nadal żadnej zmrożonej zwłoki w dół się rzucają i jadą!

E nie, to chyba wycieczka szaleńców jest, duża część samobójców wymieszanych z desperatami, a reszta to raczej słabuje na umyśle. Nie, nie, na pewno nikogo normalnego tu nie widzę, słabo widać przez te ich hełmofony, ale na pewno tak jest! Dobra, to ja może podziękuję, gdzie jest wyjście...?

Nagle słyszę zza pleców:

— No Jedź Mi_ stąd tam! Jedź Mi_ już w dół! Mi_giem leć i Jedź!

Wszyscy wkoło dopingują i, powiedzmy sobie szczerze, to nie troska przez nich przemawia, to nie czuła pomoc bliżniemu czy altruistyczne zrozumienie człowieka ustawionego pod... tfu, nad ścianą pionową. To zwykła chęć pośmiania się nie pozwala im zostawić mnie tu samemu sobie, żebym sobie spokojnie umarł z wychłodzenia, niedotlenienia, stresu lub głodu.

Dobra, „ciąć będziem równo z trawą, by z byle chmyziem na polu karnym się nie pospolitować”. Jadę!

Stoczyłem się ze stoku i spadam, ślizgam, padam, turlam i ryję ryjem. Cały wachlarz póz, płóz, rozgwiad i nie wiedziałem, że jestem tak rozciągnięty! Ała, a nie... nie jestem. Robię to wszystko, i wiem jedno: różne rzeczy robie, ale na pewno nie jadę. Jest tu walka o życie, jest też i czas na pogawędki i szlifowanie, w przelocie, doskonale Mi_ nieznanym języków, nikt nie pozostaje obojętny, każdy chętnie zagada:

— Ar ju ok?

— Alles gut?

— Łot ar ju duing?

— Ar ju krejzi?

— Ju ar krejzi!

Wieki później, jakieś 10 minut chyba, dotarłem jakoś na dół. Na czas tego pokazu wszyscy się zatrzymali, żeby zobaczyć pierwszy w tych stronach zjazd „na pingwina”. Owszem,

były takie próby wcześniej: na brzuchu i twarzą do przodu, ale nigdy tak długo i z nartami na nogach.

Po tej nieudanej próbie samobójczej do mainstreamu przeszły slogany ukute na moją cześć:

„Widzimy się żywi w knajpce uMarty?”

„Przelatujesz Mi... mochodem nad stokiem?”

„Nie jedziesz za szybko, tylko lecisz za nisko!”

„Widziałeś orła cień, czy ostry cień mgły?”

Ech, cóż by tu dodać na koniec tego epitaf... a nie, żyję jeszcze, to tej epistoły. Nie jeździsz? Zacznij. Ale jak zaczynasz, to może nie tak jak ja, od razu czerwonym szlakiem na samej górze wielkiej góry jakiegoś cholernego Alpejskiego lodowca, 8 kilosów czy inne 3400 metrosów nad poziomem morza, gdzie się nawet zapalić na uspokojenie nie da, bo nie ma tlenu!

Jedź, jedź — będzie fajnie.

Dlaczego tylko ja mam mieć przesrane...

Kawa w Zakopanem¹



#szosopasta na 773 słowa, 4 minuty czasu czytania

Przyjeżdża stangret kolaską na dworzec kolejowy, osmalony, przyprószony siwizną popiołów, z miną zmieszaną i lekko wstrząśniętą — po Jaśnie Pana:

— I co tam, stangrecie Wojciechu, we dworze? — pyta Pan Jaśnie, bo telefonów wtedy we dworach nie było właśnie.

— A wszystko dobrze, Mościpanie, no prawie, bo Burek nam uciekł, a poza tym to będzie dobrze, Magnificencjo.

— Burek uciekł? No tak, to był zdrowy, młody pies, ale przecież przywiązany do nas i do budy!

¹ <https://szosami.com/2024/12/05/gran-turismo/>

— Musiał, każdy by chyba uciekł, jakby się mu buda paliła, moja Reminiscencjo!

— Buda mu się paliła??!

— Ano tak, skoro się zapaliła, to i się paliła...

— Jak to się stało, że mu się buda zapaliła??

— Jak się miała nie zapalić, jak przecie ona obok dworu! A kto by się budą zajmował, jak trzeba dwór gasić? Uciłem sznurek i uciekł...

— CO!?!?

— Panie Jaśnie, już wyjaśnię: Burek uciekł, bo się bał siedzieć w budzie, co się paliła, jak się zajęła od dworu, który się spalił, gdyż się zajął od firanki. Ale poza tym wszystko dobrze, będzie dobrze. No, już, już!

Mniej więcej w takim stylu, jak powyżej, można ująć to, co zaraz wydarzy się poniżej, kiedy to...

...Wiadomo, piątkowe wyjazdy służbowe zawsze są krótkie. Skoro wszyscy mentalnie są już na weekendzie od czwartku, a tylko ich ciała jeszcze parkują w piątkowych biurach to ciężko nawiązać z nimi jakiś sensowny kontakt. Co załatwisz z samym ciałem, bez jego zawartości?

Pojechałem więc na szybko — to tu, o tam, niedaleko, na południu Polski, załatwić ze dwie sprawy do południa i wrócić. „Acha, ale przecież jest wolne, wakacje znaczy się, to zabiorę ze sobą młodzież” — pomyślałem — „oderwę ich od smartfonów, pokażę trochę geografii w praktyce, póki jest czas spędzimy razem czas”. Pojechaliliśmy. Było nawet fajnie, a po powrocie...

— Hej, hej, a co robiliście w weekend?

— A pojechaliliśmy do Zakopanego z młodzieżą, przy okazji, po pracy, na szybką kawę.

— Kawa z Zakopanem? To bardzo fajnie!

— No, niby w Zakopanem... ale jakby nie do końca. Okazało się na miejscu, że przecież to już niemal Słowacja, więc pojechaliliśmy kupić dobre piwo, bo słowackie, przy okazji, skoro już tam jesteśmy.

— Aha, to ta kawa była na Słowacji, w górach?

— Cóż, tak, ale nie... niekoniecznie, bo jak już jesteś na tej całej Słowacji Pełnej Atrakcji, można — a nawet trzeba — zobaczyć Bratysławę, której się nigdy nie widziało. Przecież się jest już na Słowacji, tylko dwa kroki!

— Racja, oczywiście już Słowacja. I co, dobra ta kawa w Bratysławie?

— O! Na pewno pycha! Lecz tego akurat nie wiemy, gdyż jak już byliśmy w Bratysławie, okazało się — co za niespodzianka — że od niedawna, po drugiej stronie rzeki, ktoś zainstalował Wiedeń! Jak nie pojechać do Wiednia, jak jest po drugiej stronie rzeki?

— Kawa w Wiedniu? Ma to sens!

— Cóż, wiadomo, Wiedeńska Kawa po Wiedeńsku w Wiedniu ma sens i to jaki! Ale pomyśl — jesteś w Wiedniu, a to przecież Austria nie? Człowiek wykosztował się już na autostradową winietkę 10-dniową, więc naprawdę, jak nie pojechać na Red Bull Ring? By być tam owianym powietrzem z nadtoru, wdychać oktany, sztachnąć się dawką węglowodorów, poczuć atmosferę wielkiego ścigania i zobaczyć te ślady późnego hamowania. Jak nie pojechać w tej sytuacji, pytam się ja, szczególnie że to niedaleko, a autostrada stoi swym prawidłowym przed tobą otworem?

— Dobra, dobra, a gdzie to?

— No jak gdzie, jak W Salzburgu... Ponoć.

— Przecież to druga strona Austrii! I jak tamta formuła?

— Niewiadomo, bo okazało się, że Red Bull Ring jest zupełnie gdzie indziej...

— Zamiast w Zakopanem, byłeś na kawie w Bratysławie, która jest nie w Wiedniu tylko w Salzburgu, bo tor Formuły 1 jest gdzie indziej

— No... Nie.

— To w końcu gdzie była ta kawa wypita???

— Y... bo ten... Młodzież nigdy tam nie była, a to niedaleko...

— Czyli GDZIE Wy byli i wypili tę kawę, bo nam się roboczdniówka kończy przy tej opowieści?!

— Wy Szwajcarii.

Cóż, jest taka scena otwierająca film *The Italian Job*. Zrelaksowany Włoch jedzie przez Przełęcz Świętego Bernarda samochodem Lamborghini Miura, smakując każdy zakręt, drgnienie kierownicy na pęknięciach asfaltu, każdą udaną zmianę biegów.

Z praktycznego punktu widzenia to strata czasu, niepotrzebne zużywanie neuronów, marnowanie energii na coś, co nie zbliża nas szybciej do celu ani nie pozwala przewieźć więcej ładunku czy spalić mniej drogocennego paliwa. Bez sensu... Chyba. Gdyż...

Idea jazdy samochodem w daleką podróż wtedy, gdy więcej sensu ma inny środek lokomocji albo wręcz inna trasa, nazywa się *Gran Turismo*. W latach 60. czy 70. wybranie się supersportowym samochodem w długą podróż było loterią o mniejszym prawdopodobieństwie trafienia niż zero w ruletce w Vegas. A i tak ludzie to robili.

Nie dlatego, że lubili utytłać się po łokcie, rozbierając rząd gaźników w 12-cylindrowym włoskim silniku, ale dlatego, że samochód służy nie tylko do praktycznego przemieszczania się, lecz także do jeżdżenia.

Do pięknego jeżdżenia!

Ok Boomer¹



#szosopasta na 492 słowa, 3 minuty czytania

Mój ulubiony suchar: „Dzieci, jak są małe, to są takie słodkie, że chciałoby się je zjeść. A potem się żałuje, że się tego nie zrobiło!”

Moja młodzież jest już duża i nie, nie żałuję, że, pomimo iż w dzieciństwie była słodka, to jej nie zjadłem. Moje dzieci były super, są super i nie zamieniłbym ich na żadne inne...

Mimo wszystko gdzieś tam, w przeszłości, chyba popełniono błąd, nastąpił wstrząs. Mają jakąś „traumę” z dzieciństwa, a ja ciągle dumam, kiedy i gdzie nastąpił przełom. Bo gdy tylko

¹ <https://szosami.com/2025/02/07/ok-boomer/>

nadchodzi kilka dni wolnego, nie są wybredne — może być weekend — pada pytanie/przynęta/zarzucenie haczyka: — Pojedziemy gdzieś?

Kiedy i gdzie popełniłem błąd? Co tak odcisnęło piętno, że nastąpiły nieodwracalne zmiany w ich mózgach... i w ciągu kilku minut są gotowe i chętne na każdy wyjazd, mimo że w ich aktualnym wieku to już nie jest takie proste...

Może wtedy?

To był zwykły, piękny, wakacyjny dzień, kiedy po trzech tygodniach bez szkoły i lekcji, za to z Nielimitowanym czasowo, zasłużonym dziecięcym odpoczynkiem, człowiek robi, co tylko może, żeby pójść do pracy.

Pierwszy tydzień wakacji — kreatywnie działa babcia nr 1.

Drugi tydzień — wychodzi z siebie babcia nr 2.

Trzeci tydzień — ty. I nie dajcie się zwieść — czwarty wytrzymują tylko komandosi GROM-u i Chuck Norris.

Tak, są takie momenty w życiu, szczególnie jak dzieci są małe, ale już w wieku szkolnym, że, żeby już dłużej nie siedzieć w domu i nie brać udziału w znudzonej diatwy pomysłach, poszedłbyś kopać rowy tylko po to, żeby je (rowy, nie dzieci!) potem zasypywać. Dobra, jak to mówią WOP-iści — są granice!

Dość tego — jedziecie ze mną! Do pracy, kierunek: Nowy Sącz. Przejdziemy się, załatwimy, co trzeba, spotkamy się z Kim Kolwiek, a potem zjemy lody. Czas zleci, szczęśliwy i cały będzie tata... i dzieci. W Sączu byliśmy planowo, wczesnym rankiem. Trasa dobra na jeden hot-dogowy pit stop, we Włodawie przybyło, wilgotność niska, temperatura oleju w normie.

Kim Kolwiek nie miał zbyt wiele czasu, więc akcja była szybka i już... 10:30 i popracowane. Parafrazując Pingwiny z Madagaskaru, kiedy zdziwione wylądowały na Antarktydzie: — Szybko (biało) dość!

I co tu dalej z NIMI robić? Lody zjedzone...

Po dłuższej chwili namysłu, kilku kalkulacjach nad mapą, deliberacjach i zapytaniach skierowanych do wujka Google: — Kto za? Kto przeciw? Nie widzę!

Po niezarządzeniu reasumpcji zapadły te, jak się okazuje teraz, ważące na całym życiu i brzemienne w skutki decyzje...

Kilka godzin później, poprzez superszybkie łącze GSM, wywiązał się ciekawy dialog pomiędzy niestrudzonymi podróżnikami a stęsknioną M.bazą:

— Tu M.z.bazy, tu M.z.bazy. Jak mnie słyszycie i jak się bawicie?

— Nie wygłupiaj się, M. dobrze Cię słyszymy i dobrze się bawimy, jesteście w ZOO!

— O, to jest ZOO w Nowym Sączu?

— Z tego, co wiemy, to nie...

— To gdzie to ZOO? — W Wiedniu...

— ...

— M.?

— Dlaczego mnie to nie dziwi... To kiedy wracacie?

— W nocy, to znaczy... jutro w nocy, a dokładniej to chyba pojutrze, gdyż w celach naukowo-poznawczo-okazjonalnych jedziemy też do drugiego ZOO.

— W Wiedniu?

— **M., nie ma drugiego ZOO w Wiedniu, jedziemy do Pragi.**

Bellissima¹



Bologna
N44°29'37.75308" E11°20'33.47772"

#szosopasta na 999 słów, 5 minut czasu czytania

W życiu liczą się detale. Obrazu namalowanie, drogi długiej pokonanie, szafka z Ikei poskładanie, na wysokim szczycie szczytowanie, czy Szosy przeczytanie — wszystko to składa się z małych elementów, które trzeba mozolnie ze sobą połączyć — aby stworzyły całość.

Oczywiście — zbyt szczegółowe skupianie się na detalach może zaburzyć ogląd całości, ale z drugiej strony, patrzenie z odległości na całość może przygnieść ogromem, a smakowite

¹ <https://szosami.com/2024/12/15/bellissima/>

detale mogą nam umknąć. Dlatego we wszystkim trzeba zachować jakiś balans: z jednej strony dystans, a z drugiej... ech... w życiu liczą się detale.

Tak jak kiedyś ja, w Italii, gdzie:

Nie ma nieobitych aut. Jeśli jednak są, to jest to zagubiony niemiecki emeryt, którego nawigacja wywiodła na manowce w jego funkiel nowym mercu — i patrz na punkt 1.

Jest tak, gdyż Włosi traktują swoje środki transportu z typową dla siebie nonszalancją i radością ich bi... bycia. Klasyczne Dolce vita! — w dobrowolnym tłumaczeniu: „Masz Dolce? Witaj!” To jest trochę dziwne, bo najpiękniejsze, najdroższe, najkultowniejsze, najdizajniejsze i najfajniejsze auta robi się właśnie tam. Ferrari, Lambo, Maserati, Fiat 500.

Z jednej strony są to pojazdy o ponadczasowym designie, tak piękne, że szkoda wsiadać, a z drugiej strony... no weź i zobacz z drugiej strony... widzisz, jaka wgniotka? Ciężko to zrozumieć, ale też trudno się dziwić. Italia ma długie tradycje w budowaniu miast. A wtedy, kiedy je projektowali i budowli, stawiano na ponadczasową solidność, tak by to, czego nie załatwił Wezuwiusz, się ostało i lata stało. No i stoi, do dzisiaj.

Mimo, że byli bystrzy (mieli Senekę, Marka Aureliusza, formację żółwia, kohorty, czynszówki i akwedukty), to jednak nie przewidzieli transportu czterokołowego wielokonnego (poza wołowym). Na tym, co zbudowali, rydwany mijały się bez problemu. Więc — Panie, to nie Ameryka, po co budować szerzej i prościej, jak tak budować jest łatwiej i prościej?

W dodatku, w całym tym antyku, w Rzymie w ciągu dnia był zakaz jazdy konno, więc budowano w układzie pełnym zaułków, ciasnych skrętów i niewielkich prześwitów w stylu: niech będzie tajemniczo i zagadkowo „gdzie ja, kurwa, jestem?” dla przyszłych, przybyłych tu turystów.

W takich warunkach obcierka, wgniotka, ryśnięcie, błotnikiem muśnięcie jest oznaką zwykłych codziennych zmagania z przestrzenią. Drobną jak u dzieciaka na podwórku czy piłkarzy na boisku oznaka zajęć praktycznych na dworze/polu

(niepotrzebne skreślić). Przemyć, pocałować, plasterk i do przodu. Więcej przy tym gry aktorskiej i udawania niż bóleści i poważnych urazów. Lapidarnie rzecz ujmując — stłuczka, nie wypadek. Jeździć — obserwować.

Nikogo więc nie zdziwiło, ba, nikt nawet nie zauważył, gdy na miniaturowej, włoskiej uliczce miejskiej, z jednej strony zastawionej stolikami i okupowanej przez degustatorów espresso, a z drugiej błotnik w błotnik ustawionymi pojazdami, jakaś bellissima z włosami czarnymi, starannie, godzinami układanymi w niestaranny, artystyczny nieład, wsiadła do swojego naparstka w formie Fiata 500.

Oczywiście, miejsca wkoło tyle, co w tokijskim metrze w godzinach szczytu, gdy zapaśnicy sumo dorabiają sobie dopychaniem masy ludzi swą masą. Nikt nie wie, jak ona tam wparkowała, zapewne tak samo, jak próbuje wyparkować. Zresztą, i tak nikogo to nie obchodzi.

Gdy czarna przepiękność wsiadła, odpaliła i zaczęła opuszczać miejsce parkingowe, nikt z rozdyktowanych i rozgestykulowanych, wypoczywających po 2 godzinach harówki Włochów nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Nikt, poza mną. Bo ja, mimo że z daleka, patrzę, widzę i zwracam uwagę na szczegóły.

Kiedy Pani Przepiękna B. zaczęła swoim autem przybijać piątki przodem w tył i tyłem z pojazdami stojącymi grzecznie przed i za nią — zdziwiłem się. Ej... No, miejsca jest mało, ale nie aż tak! Szkoda przecież tej pięknej 500-setki! Co ona myśli, że jak tak się poodbija, to jej zrobią miejsce? Pewnie tak myśli. Ale nie zrobią. I wychodzi na to, że 30 cm z przodu, podobnie z tyłu, to sprawa z góry przegrana. Nie ma najmniejszych szans, żeby z tej dziury wyjechać inaczej, niż poszerzając lukę poprzez presję mechaniczną z dodatkiem kinetyki na sąsiednie pojazdy. A że się blacha wygnie? To są szczegóły i nie ma co na nie zwracać uwagi.

Ale ja zwracam, i widzę, iż ta presja nic nie da. Pojazdy z nieznanym powodów nie chcą współpracować, mimo że pani uparcie, zawzięcie i bezskutecznie nie powiększa luki w prze-

strzeni. Taka piękna, stara 500! Może ma swoje niedoskonałości wynikłe z życia w trudnym środowisku, ale z jaką gracją dojrzewa! Nie! Nie, nie mogę na to patrzeć! Fiat 500 wyszedł Włochom doskonale. Cudowny pojazd, no i, z daleka widać, przepiękna właścicielka — wymagają pomocy jakiegoś dżentelmena.

Spokojnie, acz zamaszycie wstałem od stolika, nagłym tym ruchem zmieniając równowagę sił i energii na kwartale. Kinestetycznie rozmawiający rękami, klóćący się o wszystko i o nic werbalnie clienti abitulali lekko zastygli i... jakby przycichli?

Kiedy skierowałem się w stronę Namiętnej i 500, powoli, jak łany zbóż pokładzione wiatrem, rozmowy ucichły zupełnie, a uwaga zogniskowała się tylko w jednym punkcie. W punkcie Mi.

Podszedłem i grzecznie, strzelając po oficersku obcachami moich tenisówek, zaproponowałem pomoc, a Bellissima ją przyjęła. Wysiadła, ustępując miejsca w naporstkowozie. Uwaga tego mikroświata, jego energia, doping i fascynacja skumulowane były już tylko na fiaciku. Jedni zapomnieli o oddychaniu, drudzy nerwowo przypalali papierosy, inni histerycznie się śmiali: „Co on robi w tej sytuacji, w której wiadomo, że nic nie robi, gdyż sytuacja jest równie jasna i beznadziejna jak reprezentacji Polski w walce z Potwornymi Wyspami Owczymi?”

Lecz, jak to powiedział kiedyś Asterix: „Ale głupi Ci Rzymianie!” 30 cm z przodu i z tyłu to aż za wiele, żeby takim autem wyjechać, łamiąc się kilka razy w miejscu. Ręce mam silne, doświadczenie również niesłabe, więc bez problemu wyprowadziłem naporstkoauto z klinczu, w dodatku zgrabnie i bez niepotrzebnego obijania jego pięknego przodu i uroczonego tyłu. Z wrażenia część co słabszych nerwowo obecnych tu istot padła bez przytomności, reszta oklaskowymi owacjami na stojąco nagrodziła me mistrzostwo. Z okolicznych domów zaczęli się zbiegać miejscowi, myśląc, że Azzurri wygrali Mistrzostwa Europy!

A jeśli nie, to nic — i tak jest okazja, żeby świętować, i Dolce Vita!

Kiedy opuściłem naparstkowóz, Bellissima odrzekła: „Grazie!” swym wdzięcznym, dźwięcznym barytonem i puściła mi oko, a ja zobaczyłem (bo do szczegółów oko mam), że w rajtuzie oko ma i sobie nóg nie... **Nóg nie dogolił. Ten Bellissim... męski.**

Destiny czyli przecinki oparte o fakty¹



TATRY
N49°17'48.88104" E19°57'1.71108"

#szosopasta na 975 słów, 5 minut czytania

Był piątek pod wieczór.

Na rany celnie zadane — no co go podkusiło, żeby się zgodzić?

Ale tak, gdy człowiek jest młody, wyobraźni tak bardzo nie ogranicza proza życia, a słowa rzuca się łatwo. To pewnie to.

¹ <https://szosami.com/2025/02/28/chata/>

A potem nadciąga rzeczywistość. Szara. I nadeszła o osiemnastej, kiedy wybiła godzina fajrantu.

Wtedy, zamiast spokojnie wytrzeć ręce o brudną szmatę, przeczesać włos wyjętym z tylnej kieszeni grzebieniem, sprawdzić gotówkę w zatłuszczonym portfelu i — uradowany tym widokiem — iść w miasto, napić się piwa, odpocząć po robocie z relaksującą wizją wolnej soboty... to nie.

Teraz, zamiast iść trzeba pójść. Dotrzeć tramwajem na wyłotówkę, potem 120 km autostopem w dół mapy i w góry, by gdzieś koło północy — przy dobrych wiatrach — zwalić się na karimatę w okolicach jakichś Wierchów.

„Dlaczego to, mów, dlaczego to?”

Otóż dlatego, że ta lepsza, lepsza, inteligencka część Ekipy Ekspedycyjnej — ta studencka — wyjechała rano.

Wyjechała, bo mogła (cholerne inteligenty), by przez piątek — kiedy robole, jak on, robolą w mozołe — i resztę weekendu szczytować na szczytach, dołować w dolinach, widoki widokówkować na siatkówkach.

I w dodatku — trawersować graniami, przekraczać przełęcze i chłonać oddechami jeszcze czyste od „stonki” i wawelskiego smoga powietrze gór.

Takiego dalekiego kuzynostwa Alp, oddelegowanego na północną placówkę — Tatr.

On — pracownik fizyczny — do poręczujących w schroniskach, stawiających tymczasowe obozy na przełęczach, aklimatyzujących się w iglastych lasach dołączyć ma wieczorem. Po pracy znaczy się dołączy. Czyli — jeśli zaraz wyruszy — to gdzieś w nocy po północy.

Oczywiście jeśli tam dojedzie, bosz(!), a potem jeszcze trzeba dojść.

„Borze na halnym szumiący, jak mi się nie chce... 8 godzin w pracy i jeszcze ta droga.”

Niestety, nie są to czasy jednokomórkowców, gdy jednym maźnięciem palucha i tanią wymówką — nawet niegramatycznie — można się łatwo wymigać z takiego wyjazdu lub z innego powodu.

Nie, nie ma szerokopasmowych sieci 5G z natychmiastowym wibracyjnym powiadomieniem nawet na szczytach: „Po pracy zmęczonym nie jadę.”

I już. Z czystym sumieniem — w miasto na browara!

Ale ludzie pojechali, umówili się w górach X, na polanie Y, w chacie Z...

I co będzie, kiedy tam przyjdą, według umowy, z tobą?

Szlag. Cóż robić?

Po przestawieniu przecinków wyszło mu: **„Po pracy zmęczonym? Nie. Jadę.”**

Mimo zmęczenia, fizycznej niechęci — JaCierpięDolę — trzeba jechać. Słowo się rzekło.

Ech, żeby jeszcze tak wsiąść sobie w auto, zapodać muzykę z listy przebojów i kawę z kubka papierowego, a potem pomknąć komfortowo... To tak! To rozumie! To chętnie!

Lecz to... niestety, nie te czasy.

Póki co, autem się jeździ, gdy ktoś na stopa zabierze.

Ma mocną wolę. A kiedy ta wola tak woli, to robi z nim, co chce, używając celnych argumentów:

— Nie jedź! To absurd! O której tam dojedziesz? I po co? Halny zaczyna wiać, pojedziesz tam tylko po to, żeby wrócić? A tu, „na mieście”, piwa dolnego fermentu i wódki górnej półki w knajpach niskich lotów czekają!

— Kurwa, ja wol wolo, lecz ja umówiony jestem. Specjalnie tam będę iść, by czekać... na mnie. Jak tu nie jechać, jak trzeba jechać?

Odpowiada woli niezbyt celnymi argumentami, pakując się ukradkiem do tramwaju.

Dlaczego jeszcze nie wymyślono cholernych telefonów komórkowych?!

Nie jadę!

Nie jadę?

Nie, jadę!

Niech to wszystko szlag trafi... i pojechał.

Wylotówka. Godzina 19. Czas start!

100 km poszło gładko, a kiedy zostało już ich tylko 20,

w międzyczasie nadeszła godzina 22.

Ciemno już, ulice opustoszały. Kto miał pojechać — pojechał. Kto ma pojechać — pojedzie jutro.

To zadupie, jeszcze bez tuneli imienia Kogoś Sławnego. Bez dwupasmówek superszybkich, aut pełna bo korek.

Tak niby blisko gór, że już je w ciemności widać oczyma wyobraźni, a tak daleko, bo to nie czasy porozrzucanych byle jak na terenie hulajnóg do wynajęcia.

Z buta — 8 godzin marszu.

Ach, cóż za zajebista to przygoda! Tak przespać się w rowie do rana! No, po prostu wspaniale!

Rzutem na taśmę, w ostatniej Wencie, z mocnym postanowieniem „jak nie teraz, to wracam” wyciągniętym kciukiem złapał w sidła litości pojazd ostatniej szansy.

A ten — już nigdy nie będzie wiadomo dlaczego — bo to góral był z Zakopca, zatrzymał się i go zabrał. Za darmo.

Uff! Ok, są góry X, a w nich już niedługo dolinka Z.

Teraz to już luz.

Tylko 2 godziny z buta przez szumiące na wietrze lasy, w ciemności, ciągle w górę i będzie na miejscu.

To nic, że wieje coraz mocniej.

Halny nabiera mocy, zaczyna harcować, swoim ciepłym, ożywym oddechem poruszając coraz żwawiej choinkami.

Ciepło, wietrznie, sucho... ale deszcz przyjdzie, gdy halny sobie pójdzie.

Zasuwając przez las w ciemności, znaną ścieżką, upocony i umęczony tym dniem zbyt długim, dotarł na tę cholerną polankę Y.

Z tą p%#@&%!ą chatką typu „Rozwalona Bacówka” przypniętą gdzieś z boku, na upłazie.

Ledwie dysząc, podchodzi i widzi — uff — ognisko małe rozpalone w środku, więc są!

Cała ta mordęga nie była na próżno!

Rozłożyć się gdzieś na podłodze, przekimać do rana, regenerować siły... Tylko dlaczego w tej chacie robi się coraz jaśniej?

A, no... to ognisko, rozpalone dla klimatu i otuchy, zaczyna się jakby coraz bardziej rozpalać.

Nagle ciary na plecach.

Plecak precz, na bok — **jeb!**

Szybko, wpaść do chaty i najdelikatniej, jak można, słodkim głosem, tak żeby nikogo nie przestraszyć a obudzić, woła: — WY PIER DA LAĆ!

Dobrze wie, co robi. Wie, że „**marynarz trafiony celną kurwą nabiera chyżości ruchów i bystrości spojrzenia**”.

Tylko że to nie morze, a półprzytomni i zaspani ludzie zaczynają się powoli pakować, gramolić, niechyżo zbierać swe graty z tej chaty...

Ale nie ma już czasu na luksus posiadania czasu. Za późno na układanie ciuchów w kostkę i racjonalne gospodarowanie przestrzenią plecaka.

Co było pod ręką, wylata z tej hacjendy, rzucane na oślep w drzwi.

Niedługo to trwało, a gdy wszyscy — ponaglani rykiem — się zebrali, jak stali, tak wybiegli.

Kiedy graty wszystkie już walały się na zewnątrz, po chwili lub dwóch — kto to teraz może wiedzieć — **PYK!**

Od tego wiatru fenowego, suchego, silnego, halnym zwanego, cała ta cholerna chata jak pochodnia w płomieniach stanęła i w kilkanaście minut przeszła do historii.

Przecinki są ważne. Interpunkcja czasem ratuje rzyci. A może i życia.

Serce z kamienia¹



KRAKÓW
N50°3'43.01064" E19°56'12.68304"

#szosopasta na 547 słów, 3 minuty czasu czytania

Ta historia zostanie już chyba ze mną na zawsze. Nie, nie, nie tylko dlatego, że egzaminowała moje rodzicielstwo i kosztowała nie tylko kawę deluxe, ale głównie dlatego, że z jej powodu ciągle muszę się użerać z tym gru... gra... gran... Granatowym youngtimerem.

Ale do brzegu. Otóż, kiedy moje dzieci były małe — o takie małe, o — to było dawno temu, bawiły się na podwórku i rysowały kamykami po asfalcie, a może po chodniku. Jak to dzieci,

¹ <https://szosami.com/2024/11/25/serce-z-kamienia/>

daj takim krede, farbę w sprayu lub długopis, a remont murywany.

W czasach, kiedy dzieci jeszcze wychodziły bawić się na podwórko, pewnego letniego dnia, kiedy stada chmurzastych wysp tak zasnuły po horyzont niebieski ocean, że tylko domalować na asfalcie żaglowce i słynne regaty ze Szwedami pod Oliwą z 1627, gotowe, wróciłem do domu, siedziałem i piłem zasłużoną kawę (tu można wstawić kawę, jaką lubi się pić).

Piłem ją spokojnie, kiedy nagle przychodzi do mnie córka i mówi, że Ona zgłasza reklamację, że rysunek nie chce się zetrzeć, że na chodniku to się ściera, jak coś się nie uda, a na aucie to nie!

— Aha, na aucie, no tak, oczywiście, ma to sens... Zaraz, zaraz, na aucie? Na jakim aucie?!

Szlag trafił kawę, połowa jej na mnie, połowa na podłodze (a to dobra była kawa, amerykańska!).

— Oj tato! No jak, na jakim? — Tu następuje przewrócenie oczami typ „ale ci dorośli są niedomyślni” i wymowne spojrzenie na brata, czemu on przytakuje bezradnym rozłożeniem rąk w stylu „no kurde, nie wiem, czego nie rozumie”. — Oj tato, no na mamy aucie! Przecież twoje jest srebrne, nic nie widać, jak się po nim rysuje... — i zgodne kiwanie głowami w niemym rozczarowaniu.

Na drzwiach w kolorze granatowym, pojazdu marki nieważnej, narysowała serce i wnosi reklamację, bo wyszło krzywo, a nie da się teraz zmazać, a z chodnika tak, i tak nie może być... Dlaczego się nie ściera?

Otarłem się trochę z kawy, przetarłem twarz, potarłem brodę, idę i faktycznie — na drzwiach auta serce jak malowanie, tylko że nie malowane, a do gołej blachy wryte kamieniem. Pewnie dla lepszej afirmacji uczuć, widoczności i kontrastu.

A sądząc po z lekka sfałdowanej linii, z zacięciami o niejednolitej grubości... chyba ciężko szła robota.

I co tu zrobić? Jak zareagować?

Co zrobiły każdy, duży, szanujący się ojciec w tej sytuacji? Nie wiem, mogę się jedynie domyślać, ale w dupie to mam.

Ja, na wszelki wypadek, na chwilę poszedłem za róg budynku, żeby mnie nie było widać. Jak już się przestałem turlać ze śmiechu, doszedłem jako tako do siebie, po wydmuchaniu gilów z nosa, wróciłem do pociech i próbując przybrać minę poważną, mówię:

— Faktycznie, kiepskie te kamyki, nie da się zmazać, dlatego nie rysujcie już więcej po aucie, bo jak się nie uda rysunek, to się nie zmaże i zostanie takie brzydkie.

I więcej po aucie nie rysowali. No bo co innego zrobisz? Można się wściekać — przecież to auto, najwspanialszy ludzki wynalazek, obiekt westchnień i w ogóle chyba dużo pieniędzy kosztuje, skoro inni nawet zjeść w aucie nie pozwalają, i takie tam pierdolety.

Ale, tak naprawdę, to tylko powyginana blacha pociągnięta farbą. Za to takie serce wryte, to sztuka może jednorazowa i krzywa, ale cudownie niepowtarzalna!

Zamiast się wściekać i rozpaczać, trzeba się cieszyć, że im, razem z bratem, nie przyszło do głowy malować „Bitwy pod Grunwaldem”.

A teraz... Weź i sprzedaj takie dzieło.

Przepis na danie „do myślenia”¹



#szosopasta na 585 słów, 3 minuty czasu czytania

Ponoć tak piszę o motoryzacji, że lepiej, abym nie budził apetytów w ramach pisania o kulinariach, bo przyczynię się do przeciążenia planety i wzrostu wagi statecznego, statystycznego obywatela. Zaciekała mnie ta koncepcja, więc w ramach kompromisu napiszę coś o przepisie.

Nastąpiły ostatnio zmiany w przepisach, wynaleziono jakieś stare receptury na nowo. Stwierdzono, że po ich zastoso-

¹ <https://szosami.com/2024/11/03/przepis-na-danie-do-myslenia/>

waniu to dopiero będzie nam w smak. Koniec ułańskiej fantazji w „gotowaniu”, koniec z lekceważącym, byle jakim stosowaniem przepisów. Teraz będą już wszędzie i wszystkie gwiazdki tylko Michelin.

Nie może być tak, że gdy krajanie jadać jadą „za granicę” Polski, to potrafią się zachować w ichnich „restauracjach” i przestrzegać przepisów. A u nas? No właśnie... nie. Fakt, maniere są ważne przy stole, ale o to się nie martwię — my przecież uczyliśmy Francuzów jeść widelcem już w średniowieczu, więc tak jak „za granicą”, tu też, po zmianie przepisów, szybko sobie przypomnimy, co i jak.

— Dobra, uwaga narodzie — rzekł rzecznik — teraz zmieniamy książkę kucharską z przepisami i w końcu będzie już dobrze. I smakowało i wszyscy wyjdą cało. Ale tak sobie myślę — przepis na udane danie to podstawa, ale i składniki muszą być dobre. Wszystkie, aby wyszło wszystkim na dobre.

Jadę kiedyś (w ramach nowych przepisów) przez nasz umiłowany kraj ogórka kiszzonego, a na pokładzie mam 12-latka nazbyt bystrego. Szosuję stylem „kompromis”, czyli tak, żeby było bezpiecznie, ale sprawnie — żeby nie przegiąć, zbyt nie nagiąć ale i nie ugrząźć, i dojechać do celu jeszcze jakoś w tym tygodniu. I ten 12-stek nagle mi mówi:

— Ale tu było ograniczenie, a pan nie zwolnił! I ja obserwuję, i to nie pierwszy raz!

Osz ty... leszczu barowy... uczyć mnie będziesz? — myślę, lecz milczę — bo co mu powiem? Przecież nie będę tu wchodził w zawiłości, w meandry, w filozofie. Przepis to przepis, trzeba przestrzegać, żeby danie było udane. Nie można też demoralizować młodzieży, od której przyszłość zależy, a której, jak się powie co i jak, to i tak nie uwierzy. Myślę chwilę i mówię:

— To niedobrze... — Niedobrze! — To dobrze, masz rację, przepraszam, teraz pojedziemy zgodnie z przepisem.

I pojechaliśmy stosując przepis linearnie, a przed nami było jeszcze 60 km dróg przez miasteczka oraz wsie, borami, lasami i łąkami, i z zakrętami. Z długimi prostymi, rondami, przejściami dla pieszych i drogowymi robotami.

To jazd jedźmy. O tu można 90, rura, ale już hamowanie, bo nagle 50, któż wie po kiego. Ledwoco się skończyło niepotrzebne 50, można 70, to pasy — znowu po hamulcu. Długa prosta — tniemy radosne 90, ale kurier po lusterkach już daje morsem, że się wlekę jak jakiś dziad z długim wąsem. Zakręt z góry z konieczną redukcją i 40, by już po chwili wbić 6 bo 90, więc gaz, ale już hamulce do 30, bo drogowcy zapomnieli zabrać znak po swej robocie.

Robota skończona, znak został, co zupełnie nie przeszkadza, by POLICJA (Poszukiwacze Okoliczności Licznych Inkasacji Cennych Jednostek i Aktywów) tam się za krzakiem ustawiła — w trosce i wyłącznie o bezpieczeństwo obywatela i przestrzeganie przepisów, jak nie skorzystać z takiej okazji?

„Stop” na torach — obowiązkowo i start, bo 90, ale już las, zwierzyna, więc przezornie zwolnię bo przydzwonię. Przeciętne miasteczko na pół krajówką przecięte, światła, teren zabudowany, ale można 70 i już 50, o, a tu szkoła, to znów 40... I tak toczyła nam się ta „kuchenna rewolucja” aż w końcu, po przejściu ze stylu „kompromis” w ten „szybki/szybki, wolny/wolny” styl, jak w picu pod ogórek, w sposób ultraprzepisowy dojechaliśmy do celu. Zatrzymuję się dumny i pytam w zadumie:

- No i jak, mały, tak dobrze?
- Niedobrze!
- Ale jak to, tak też niedobrze?
- Niedobrze, będę rzygać!

Nach Berlin¹



#szosopasta na 1062 słowa, 6 minut czasu czytania

Młodzież zakończyła to coś szumnie nazywane „edukacja”, a więc Wakacje!

Po odrzuceniu słabych ofert z jakichś Cambige, Oxfort, Collegium Humanum oraz innych wiodących na rynku uczelni, będąc przed błyskotliwą karierą na MiT (Miotła i Talerze) poprzedzoną praktykami w okienku MacDrive, cała ta nasza kochana Młodzież bezwzględnie zasłużyła sobie na wypoczynek.

Czas regeneracji, relaksu, słońca i wakacji, czyli kiedyś — malowania płotu, teraz to leżenie odłogiem w pokoju, w alter-

¹ <https://szosami.com/2024/11/19/oszczednie/>

natywnej wersji porządku (z francuskiego zwanej „le burdel”) i chatownie (czatowanie... tylko nie wiem na co).

Lecz po paru dniach, basta! W celu uchronienia ich przed odleżynami, a globu przed efektem ciepłym od nadmiaru przesyłanych terabajtów danych, zapada decyzja: „Mówicie Młodzież, gdzie chcecie jechać, obiecałem, wykonam, pojedzieMi!” — powiedział do nich ojciec tzn. ja.

A Młodzież po licznych dyskusjach, rozkminach, deliberacjach oraz zwykłych kłótniach popartych trzaskaniem nawet obrotowymi drzwiami, zadecydowała — My by chcieli nach Berlin!

Dlaczego nie nach Dubaj, Śniardwy, Korea czy Pieniny? Nie wiadomo, to jest młodzież, oni funkcjonują w innej rzeczywistości. Mają tam pewnie jakieś tabele przeliczeniowe oraz inne wykresy-rankingi, w których ujęty jest poziom „siarowości” oraz „coolowości” zależnie od wyjazdu.

Jak jedziesz w ich wieku nad morze z rodzicami, to jest „siarowość” 100, ale jak dokładnie w to samo miejsce pojedziesz robić dokładnie to samo, tylko z kumplami, to jest to „coolowość” 100. Dlaczego? Bo rówieśnicy i ich opinie są w tym wieku najważniejsze, decydują o życiu i szczęściu.

Trzeba to uszanować. Ok, widocznie z kartą kredytową w postaci rodzica (skoro już musi) Berlin dobrze wygląda w relacjach, ma duże przebicie na snapach i dostaje wiele „pozytyworeakcji” tam, gdzie się reaguje „reakcjami”. Na szczęście ich ojciec również nie ma nic do tego kosmopolitycznego miasta.

Pełnego atrakcji, piwa, kielbasy i super samochodów, które gdzie indziej służą tylko do podziwiania (takie są super) w przerwach na masaż maski pianą oraz nabłyszczanie, a w Berlinie służą po prostu do tego, do czego je zrobiono — do jeżdżenia.

Spoko, to miasto jest Ok na szybki wypad. Niech będzie nach Berlin, jakoś się przetrwa. Lecieć tam nie ma sensu. Jest na tyle blisko, że za tę kasę się nie opłaca. Jeszcze się samolot dobrze nie rozpędzi, a już trzeba lądować. Dłużej trwają instrukcje na wypadek lądowania na morzu niż sam lot nad lądem.

Przy tych zabójczych cenach za bilety człowiek się wykosztuje, a młodzież nic nie zobaczy po drodze, no i ślad węglowy. Jechać autem też nie ma sensu. Jest na tyle daleko, a paliwo kosztuje teraz tyle, że jedziesz, jedziesz, jedziesz, lejesz i płaczesz, no i wychodzi Mi_, że Polska jest krajem samych wygranych w totka i mnie jednego przegranego — tylko tyle mogę stwierdzić po cenach darmowych autostrad zaproponowanych narodowi.

W dodatku jedziesz, jedziesz i nic nie widać, tylko tiry i ekrany dźwiękochłonne, Młodzież przegapi całą drogę w smartphony i całą drogę przegapi. No i ślad węglowy. Co zostaje? Po Niemiecku — zu fus lub zu zug. Zu fus odpada — nie mamy tyle czasu na pielgrzymki.

Ale zu Zug... Tak, tu już można powalczyć jak się umie. Ja umiem. Każdy głupi może oddać nerkę czy zaciągnąć 30 letni kredyt i kupić jeden bezpośredni bilet międzynordowy z darmową kawą rozpuszczalną. Nie, my profesjonaści na podróż patrzymy po gospodarsku i wyciśniemy z niej, co się tylko da.

Zaopatrzyłem się w zapas energii na tydzień, zaciemniłem pokój (siadając w piwnicy), dostarczyłem sobie skrzynki różnych napojów oraz wykupiłem godziny obliczeniowe na najszybszym komputerze świata. Tak przygotowany, po 3 godzinach jogi i medytacji, metodycznie zacząłem przeczesywać sieć w poszukiwaniu optymalnego i taniego połączenia kolejowego Polska-Berlin.

Po wielu roboczo-godzinach pracy, litro-hektach napojów energetycznych, terabajto-megaramów i przegrzaniu się oraz superkomputera, nadeszły wyniki prac. Były one tak dziwne, że myślałem, iż sztuczna inteligencja nabawiła się cynicznego poczucia humoru, no bo wyszło, że jest tak:

Słuchaj mnie. Jak jedziesz pociągiem z młodzieżą to mają dziesiątki procent zniżki za ten naukowy przedwakacyjny trud zwany „edukacją”, a do tego jak jest was więcej niż jeden to dochodzą kolejne dziesiątki procent zniżek (hurt) za grupę. Dosłownie tyle jest tych zniżek i last minut, że jakby nie grani-

ca, to by wyszło, że jeszcze chwila i PKP będzie dopłacać do tego biletu!

Ach tung... tak... Granica! Okazuje się, że przez granicę kursuje pociąg łącznikowy, który jest za darmo! Tak, dobrze czytasz: Za darmo! Chyba to taka przemysłowa inicjatywa „Ponad Granicami”. Po co zasuwać z paczkami przez rzekę skoro jest most z szynami?

Ale, skup się Mi_tu! Masz furę zniżek od pekape, do tego pociąg łącznikowy graniczny za free ale i tak nikt nie przebije tych tam „Niemcy”. Gdyż rozumiesz — możesz tam (u tych „Niemcy”) kupić teraz bilet miesięczny, który wychodzi taniej niż jednodniowy na komunikację miejską w samy tylko Berlinie... I to na CAŁE Niemcy ten miesięczny!

Tylko intercity nie jedź i będzie git.

O ja cię! Jak tak się podchodzi do biznesu, to ja już się wcale nie dziwię, że przegrali wojnę.

A więc mamy TO! Podróż nie dość, że ciekawa, z przesiadkami w różnych interesujących miejscach, to w dodatku tak tania, że urząd skarbowy na bank będzie sprawdzał mi bank, czy to nie jest jakiś międzynarodowy przekręt. Mówiłem, jestem dobry w te klocki. Wszystko dopięte do ostatniej minuty, każdy transfer przewidziany i opisany na mapie, każdy krok bezbłędnie rozpracowany, każdy numer pociągu, siedzenia, peronu i toru zapisany i zapamiętany.

To co? Zostaje wyszukać przytulny, w sam raz na naszą kieszeń, dopasowany do standardów podróży młodzieżowej nocleg spośród tysięcy oferowanych w Berlinie tłumnym turystom przez tubylców, i iść się pakować. Ponieważ na bookingu jestem stary i znany wyjadacz, mam już nawet platynową odznakę z napisem „Gieniuś” za zasługi, to luzacko wrzucam miejsce i daty przybycia w wyszukiwarce, gdyż wiem, że w ofertach będę brodził jak flaming w bajorku.

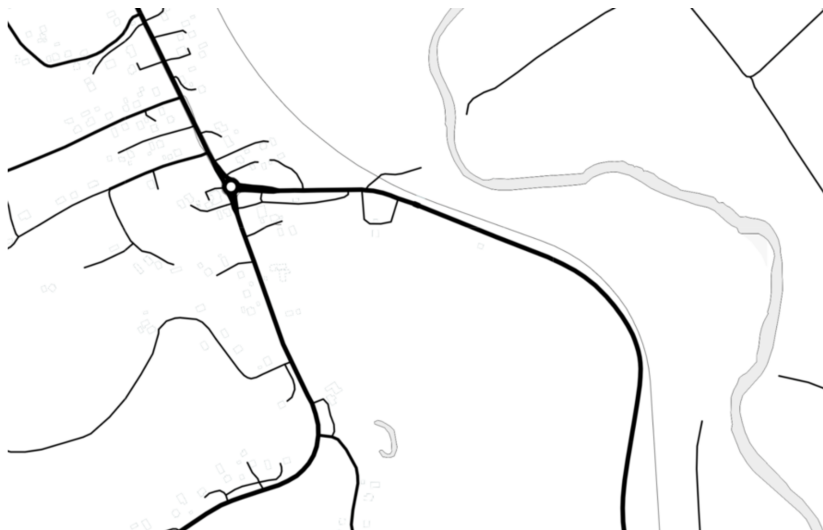
W oczekiwaniu na stos wyników siorbię sobie kawę oraz wołam całą ta Młodzież, aby razem z nimi wybrać przytulne hostelowe noclegi i przy okazji objawić im tę radosną nowinę iż proszę ja was is das Ich bin Berlin!

Zgodnie z oczekiwaniem — Yes, Jest, Booking zapiszczał radośnie wynikami swych poszukiwań: „Cześć, Mi_, Informuje się, że Berlin w tym czasie ma 99,99% zajętych miejsc noclegowych, ale jest spoko i z radością możemy zaproponować Ci 8 doskonałych ofert w cenach zaczynających się od 3 tysięcy za dobę.”

Kawą się zakrztusiłem, ekran rękawem zasłoniłem, w sobie się zebrałem i radośnie zaordynowałem:

— E... no tak, to ten... słuchajcie Mi Młodzież, mam do prawdy świetne wieści! W sportowym są na przecenie fantastyczne buty górskie i dlatego zamiast do tego całego Berlin, pojedziemy połączyć po górach, w Beskid Niski, z namiotem! Ale super, co nie?

Dystans¹



#szosopasta na 573 słowa, 3 minuty czasu czytania

Ogólnie... jaki my mamy wpływ na cokolwiek?

Ech... To były wakacje. Prawda, ja w pracy, ale... ten rejon świata mentalnie ma wolne w tym czasie. I mimo że wszędzie full ludzi, gorąc sakramencki oraz ceny x4, to... **Umorduję się na tym urlopie, ale wypocznę!**

Dzieci nasze małe, stoją ponoć (ponoć, bo ja w trasie, więc tylko info mam aktualizowane co pół godziny: „Kiedy będziesz?”) już od rana na progu domu, w płetwach i maskach do nurkowania, w oczekiwaniu aż wrócę do domu.

¹ <https://szosami.com/?p=410>

Spakowane, co do spakowania było — i lecim na Szczecin, czyli do Chorwacji. Oczywiście, jeśli wrócę.

Wydaje mi się, że wracam. I mam rację — **tak, wydaje mi się**. Gdyż jadę i jadę, i chyba nie dojadę.

Auto co chwila zaczepia mnie napisami typu: „dolej olej — dolej olej”. Bierze olej? Czujnik wysiadł? Stroi sobie żarty?

Miałem kiedyś tam inny pojazd, z mocnym charakterem i własnym spojrzeniem na rzeczywistość.

Na nic przy nim zdawała się siła argumentów — dopiero argumenty siły przekonały go, że to ja płacę za serwis, paliwo i całą resztę. Więc: **uspokój się, bo ci odetnę zasilanie i postawię na kołkach**.

Teraz postanowiłem zastosować tę samą metodę. Jakoś się opanowałem, zatrzymałem, krótka męska dyskusja z podniesioną maską:

— Z której mam ci dolać — z prawej, czy z lewej, kurwa?

Przy okazji olej sprawdzony — stan w normie, nic nie cieknie. Cóż... pozostaje to zignorować.

W końcu podjeżdżam pod dom i faktycznie — stoją w maskach i płetwach. Chodzić się nie da, więc chyba musiały się doczołgać do drzwi. One (dzieci) ciągle myślą, że Chorwacja to tu, za rogiem jest.

Dzieci są mądre — skoro wsiadają do auta na noc, od razu kima i budzą się w Chorwacji... **No, to gdzie ona ma być?**

Graty do auta, dzieci w foteliki, wszystko zapakowane. Można jechać.

I znienacka zagaduje mnie M. (w niektórych filmach i w każdym życiu jest to siła zwierzchnia, domowa władza ustawodawcza, czyli żona):

— Czekaj, czekaj! Nie mogę znaleźć dowodu osobistego. Miałam go tu, w portfelu — i nie mam...

— No, to szukaj i znajdź, bo nas chwilę nie będzie. I jak się nie znajdzie, to trzeba TO zgłosić, żeby nie wracać spłacać cudze kredyty.

Kilkanaście „**Went**” (Wenta — jednostka czasu znana z piłki ręcznej) później...

— Nie ma! Wszędzie szukałam, inwentaryzację nawet w sklepie za rogiem zrobiłam — i nie ma.

— No, to nie jedziemy. Nie dzisiaj. Rano trzeba się udać, gdzie się trzeba udać, i załatwić, co jest do załatwienia.

Dzieci do łóżek. Wszystko usmarkane gilami zgryzoty i zawodu, ale masek nie zdejmą. Dobra, niech śpią w maskach!

Dzieci śpią, ja po drinku dla kurażu — i nagle:

— Znalazłam! Byłam w swoim aucie i dowód leżał na podłodze, koło fotela!

O ja cierpiędołę! Spokój, proszę pana, tylko spokój... i, kurwa, dystans... i drugiego drinka dla drugiego kurażu... i oddychać.

— OK, dzieci już śpią! Dobrze chociaż, że się znalazł — pojedziemy rano.

Rano trzeba było wstać w nocy, bo dzieciom w maskach koło 3 brakło tlenu i już nie zasnęły. 200 km od domu, dzieci w maskach i z rurkami! Taka modyfikacja mała. Inżynierskie myślenie ma kolosalną przyszłość!

Jedzie się super, pogoda piękna, ranek nadszedł. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nawet auto opite olejem zachowuje dyskretny dystans.

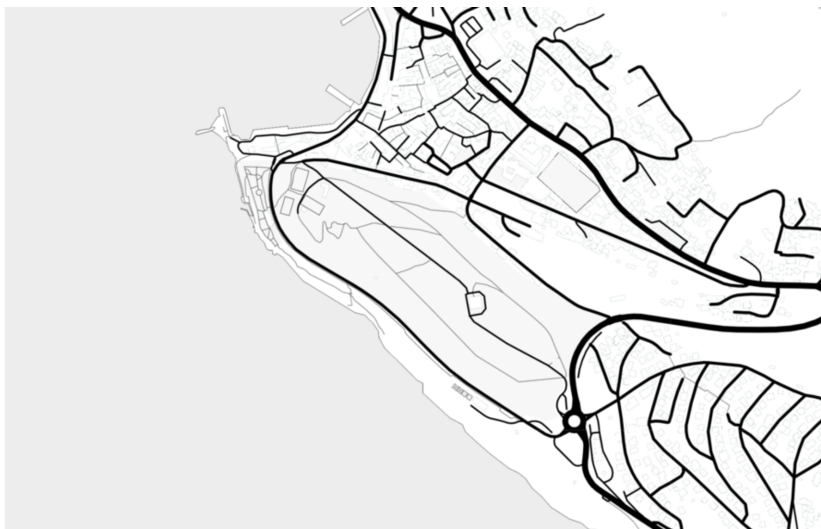
WAKACJE zacząć czas!

Może i za ładnie to wszystko wygląda, ale cóż — każdy pech kiedyś się kończy, prawda? A po burzy cisza, czy jakoś tak? Tak.

Stacja benzynowa zamajaczyła mi, mając poranną kawę. To zawsze jest dobra okazja na szybkie tankowanie, nóg rozprostowanie — bo już ze 3 godziny w drodze — pączki, hot-dogi...

Zatankowałem, poszedłem, nakupiłem, zapłaciłem, wracam do auta — a tam... **nie ma przedniej rejestracji.**

Camping¹



#szosopasta na 494 słowa, 3 minuty czasu czytania.

Spotkałem go na campingu, gdzieś tam, hen, w południowych rejonach naszego kontynentu. Przyjechał Volkswagensem Transporterem California — genialną wariacją na temat campera.

Gdyż po primo — Wygląda jak dostawczak, a prowadzi się jak osobówka, tylko lepiej, bo wyżej siedzisz. Po sekundo — Wjedzie wszędzie tam, gdzie campera nie wpuszczą, a w środku ma dość miejsca, żeby 4-osobowa ekipo-rodzina mogła koczować dłuższy czas w campingowych warunkach gdzieś

¹ <https://szosami.com/2024/11/02/camping/>

na rubieżach. I po czinkłeczento — Podnoszony dach tworzy sypialnię, obrotowe fotele — jadalnię, a wbudowana kuchenka, zlew i lodówka — kuchnię.

Pojazd w sam raz dla zgrabnej rodziny czy zgranej ekipy, a on? Był sam!

Zaparkował obok nas równo i schludnie na przydzielonym mu kawałku kamienistego, nierównego terenu. Przez taki teren jak tu potrafią się przebić tylko fachowcy Brusa Willisa z „Armagedonu”, zaprawieni w bojach wiertacze głębin lub nauczeni doświadczeniem, zaopatrzeni w młoty pneumatyczne posiadacze namiotów, którzy już raz tu byli. Reszta — bez szans.

Gdy wieje bora — uwierz — w namiocie nieprzybitym co najmniej na głębokości i roponośne, i nieprzywiązany linami do cumowania tankowców jesteś zgubiony. Odfruwasz razem z dobytkiem, a potem, przez kilka dni trwa ogólnocampingowa wymiana sprzętów, które przyleciały znikąd.

Ale mniejsza z tym, na razie nie wieje.

Zresztą... On w tym swoim wozie nie musiał się tym martwić. Stanął, wstał, postawił stolik i krzeselko, ustawił daszek, otworzył piwo i zabrał się na poważnie za wypoczynek.

Wieczorem zrobił sobie kolację, ale wcześniej poszedł popływać, wyskoczył do obozowego sklepiku, był widziany w najbliższej pizzerii, coś poczytał, gdzieś się przeszedł, pojeździł na rowerze. I wszędzie sam! Biedactwo. Żał mi się zrobiło. Taki samotny w takich pięknych okolicznościach przyrody.

Szkoda tak, bo taki to ani nie ma do kogo gęby otworzyć, ani z kim się piwa napić...

U mnie za to:

— Tato, tato, ja chcę nad morze!

— Tato, tato, a ja nie chcę, ja na basen!

— A ja bym się wybrała do miasta...

O czym to ja tu?

A tak... Ani z kim się piwa napić, pośmiać czy zamienić słowo...

— Tato, tato, ja chcę naleśniki!

— A ja nie chcę, idźmy na pizzę!

— A ja nie zjem owoców morza!

...sło... wa? Y... a tak — słowa.

Siedzi taki smętnie sam, czyta książki, słucha muzyki, z braku innych opcji jeździ na rowerze, wszędzie i ciągle sam. Naprawdę żal patrzeć.

— Tato, tato, nudzi mi się!

— A on się nie chce ze mną bawić!

— Ja nie zmywam tych przypalonych garnków

!Ech... Dopiero jak zobaczysz kogoś takiego, porównasz sobie do siebie, wtedy wiesz, jaką wartością są przyjaciele, ludzie bliscy, rodzina.

— Ja chcę bajkę o Chauderze!

— A ja chcę film z Asteriksem!

— A ja komedię...

W końcu stwierdziłem, że dość i zrobić trzeba z tym coś. Dłużej nie mogłem już spokojnie na to patrzeć. Znowu samotnie zabrał się do kolejnego zimnego piwa.

I co? Znowu będzie je tak sam pił, czytając z nudów książkę?

Nie, nie mogę na to pozwolić! Wstałem i zdecydowanym krokiem poszedłem do niego.

Zagadałem przyjaźnie po campingowo-sąsiedzku-angielsko-na migi-niemiecku i zapytałem, czy by się — kurde! — może nie chciał — błagam Cię! — ze mną zamienić.

Bracie no! Chociaż na parę godzin!

Biomechaniczna Jedność¹



#szosopasta 507 słów, 3 minuty czasu czytania

Od rana czuł to na plecach. Coś się miało zadziać, coś wie-
dział... kiedyś, dawno temu coś zapadło, było do realizacji
to coś... tylko, cholera, co?

Tego nie wiedział. Nie mógł sobie przypomnieć.

I jak zawsze, kolejny dzień w końcu przyćmił przecucia,
odsunął gdzieś w głąb, jak tabletki uśmierza ból zęba.

Rozpłynęło się. Rozwodniło między różnymi sprawami.
A tych, jak zwykle, dużo. Tu to, tam tamto. I tak coraz słabiej,
delikatniej, w rzadkich przebłyskach... umykało. I umknęło.

¹ <https://szosami.com/2025/03/12/biomechaniczna-jednosc/>

Lecz w końcu, jak zawsze, gdy zrobił co miał — wracał.

Powoli, spokojnie, ciut zmęczony, otumaniony, omotany tym dobrym, ale niełatwym dniem.

Szarżało już. Mijał tiry, spracowane na powrocie. Bez-
względnych handlowców o nieskończonej ilości żyć. Widział
zmęczone, wpatrzone w tachografy podświetlone postaci, ma-
rzące już tylko o trzaśnięciu drzwiami i piwie.

Nadchodził weekend.

A gdy zadzwonił telefon, i on zobaczył, kto dzwoni, na-
gle... przypomniał sobie. Dzwoniła ONA!

To był strzał, jak adrenaliną prosto w serce. A zimno zalało
mu mózg. Myśli w sekundzie stały się przejrzyste i klarowne,
jak ta woda z alpejskiego strumienia, w której kiedyś musiał
pływać, wyławiając swoje graty z kretyńsko postawionego na-
miotu.

Kretyn. Debil. Idiota!

Jak mógł zapomnieć?!?

Koleżka Śniegowy! Podwójny!

Zmrożony (strachem i od tej polodowcowej wody), odebrał:

— Tato?

— Tak! Wiem! Cholera jasna! Wiem! Przypomniałem so-
bie! Już jadę!

— Ale, Tato...

— Spokojnie, dam radę! Jestem mistrzem czasu! Zapo-
mniałem, ale damy radę! Kończę, muszę się skupić na drodze!

— ALE TATO...!!!

— Czekaj pod domem! Zdążę!

Rzucił słuchawką. Gdyż rozłączył się. Boż nie ma czasu
na pierdolety i pogaduszki.

Teraz, kiedy już wiedział, gdzie popełnił błąd, i wiedział,
co ma robić, ogarnął go zdeterminowany spokój. Drgawki
z polodowcowej wody spłynęły i stał się zimnym tym, no...

Yetim!

W pełnej koncentracji zjednoczył się z pojazdem. Stali się
jedną biomechaniczną formą, technologią przenikającą czas
i przestrzeń.

W symbiozie koncentracji na drodze, wyizolowanej z pikseli krajobrazu, dokonywali cudów.

Już nie słyszał radia. Każdy tak ma: lepiej widzi jak radia nie słyszy. Świstu powietrza opływającego samochód. SMS-ów, których i tak w walce o ułamki sekund nie przeczyta...

Skupiony na zadaniu, nie słyszał już nic.

Była tylko czysta kalkulacja. Pewność ruchów. Pełna techniczna doskonałość przyśpieszeń i timingu hamowań.

Pięknymi, długimi slajdami wyprzedzał grupy ciężarówek. Przewidywał trzy kroki w przód ruchy innych — nawet bezkierunkowskazowe beamki!

Niemal przelatywał nad maruderami. Nie zauważał traktorów. Śmiał się z nieoznakowanych patroli!

Tu i teraz był PrzestrzenioPożeraczem i CzasoCofaczem, a czasu... cholera, było mało.

W końcu wyprzedził czas. Wyprzedził wszystkich. Wyprzedził prawie sam siebie.

Ale kto da radę, kto jak nie on?

Jak w tej durnej reklamie leku na całe zło — Nie mógł jej zawieść, gdyż musiał ją zawieźć. Gdyż? Gdyż od pół roku to było wiadomo, kretynie, a ty zapomniałeś!

I już podjeżdża pod dom. No... gdzie Ona jest? Na co czeka?

I dlaczego nie czeka?!

— Gdzie jesteś, wychodź! Zdążymy!

— Ale Tato, weź na luz. Gdybyś mnie dopuścił do słowa albo przeczytał wiadomości, to byś wiedział, że chcieliśmy, żebyś kupił po drodze jedzenie dla kota, bo drze się jakby wyczytał w Google, że można umrzeć po godzinie niejedzenia.

— Ale przecież KONCERT! KONCERT!!!

— **Tak, Tato. Koncert... Koncert jest jutro.**

Boomerskie słowo roku¹



#szosopasta na 304 słowa, 2 minuty czasu czytania

— Synu, za **moich czasów (9,16%)** to było **klawo (7,4%)**! „Klawo jak cholera, Egon”. Taki **wapniak (1,91%)** jak ja może jeszcze w **dechę (2,11%)**, ale już jednak trochę **boomer (1,16%)**. Kiedy jeszcze mówili do niego „**synek (2,42%)**”, to z ojcem przed meczem szedł w niedzielę na miasto i razem z całym tym miastem, na placu, pił wodę gazowaną. Z **satura-tora (2,01%)** i trzech szklanek.

Teraz, od samego patrzenia, niektóre słabsze matki traci-

¹ <https://szosami.com/2024/11/13/dialogi-na-cztery-nogi-boomerskie-slowo-roku-2023/>

łyby przytomność. „Co za **kaszana** (3,27%) i **wiocha** (2,52%)” — myślałyby, padając nieprzytomnie na bruk.

E tam, te nowoczesne nadopiekuńcze **facety** (10,87%) — co wy wiecie o prawdziwym życiu?

Było **Git** (4,23%)! Na wieś nie jechało się na **dyskotekę** (2,67%), tylko do remizy, na zabawę typu: „Weź ta stacheta i bij się jak człowiek”. I dużo nie trzeba było, by napierdalanka w stylu *King Brus Li* — *Sztachety Mistrz* rozwinęła się na dobre.

A ze wsi, jak się jedna z drugą **pannica** (6,39%) wybierały do miasta, to na **prywatkę** (4,28%) — **pekaesem** (4,38%). **Ten teges** (4,18%), się **wytentegesowała w sieni** (3,07%) w osiem godzin, i po dechach z **obejścia** szły, bo błocko do kolan. **Essa** (2,11%) To było życie — **w dechę** (2,11%).

— Oj tato, co za **Krinż**... To jest twój **POV**, i **imaginuję**, że kiedyś mieliście wspaniałe **Rel i BFF**! No, naprawdę **Slay**, i padam z wrażenia, Ojciec! Ale teraz życie jest **Randomowe**, o **Crush** ciężiej niż kiedyś o czystą szklankę. Czasem trafi się jakaś **Inka**, ale dwa zdania, a potem **wysryw**, że znowu wyszło, jakiś jest **przegryw**... A **pekaesy** to ty masz na twarzy i chyba czas na fryzjera, bo ani z ciebie Starsky, ani Hutch!

— Y... To ten... Mnie świecisz, czy sobie, główniarzu?!? Bierz no **wihajster**, przeteguj to w tamto i wyteguj to szybciej, bo zaraz przyjdzie Matka i nie będzie **Jesieniara**, tylko ona nam zrobi jesieniara średniowiecza... ale z tyłków... **Proszę ja ciebie!** (14,44%)

Pantera¹



#szosopasta na 884 słowa, 5 minut czytania

Klocki, czy te plastikowe jak Lego i Cobi, gliniane typu cegła i kafelka, albo kamienne z farańskiego Chopsasa i azteckiej Pirámide del ParaSol, są niesamowicie wszechstronnie rozwijające i niezwykle absorbująco-uspokajające.

Nie ma to jak iść, sobie pójść i na skołatane nerwy położyć glazurę albo złożyć czołg w jakiejś skali. Lepsze to nawet od wody.

U dzieci rozwijają kreatywność, inteligencję, cierpliwość, przy okazji pozwalając rodzicom jakoś przeżyć ten trudny czas

¹ <https://szosami.com/2025/03/09/pantera/>

(niech będzie, że „trudny” — jeszcze nie wiedzą, co później będzie).

Wiadomo, kiedy „pociechy” (co to, jak są małe, to są takie słodkie, że chciałby się je schrupać, a potem się żałuje, że się tego nie zrobiło) zajmą się chociaż chwilę klockami, młody rodzic może też odetchnąć i w tym czasie zrobić jakieś pranie, coś sobie wyprasować, obiad czy sprzątnie zacząć... Jakimś z wyżej wymienionych swych hobbym codziennych się zająć.

A z kolei dorosłym klocki dają zatrudnienie — w fabryce lub kamieniołomie, na budowie w Niemczech czy w remontach w Anglii.

Klocki są niezwykle, no totalnie, odjechanym, plastycznym, ograniczonym tylko wyobraźnią budowniczego materiałem ratunkowym.

Braknie ci uchwytu na telefon? Zbuduj z klocków. Rękojeść do tonfy? Bierz klocki. Abażur, sedes, kieliszek do wódki? Wszystko zbudujesz!

O, weźmy na przykład piramidy egipskie za przykład.

W zamyśle to żadne tam grobowce. No jak grobowce, skoro Faraoff (aktualnie „Faraon”, ale dlaczego — dojedziemy do tego) to bóstwo, a te są przecież nieśmiertelne?

Nie! To miały być wypasione pałace dla jednego z drugim Faraoffa, kiedy im się znudzi ten śmiertelny, ludzki motłoch.

Miał tam sobie zamieszkać, spędzając wieczną emeryturę (a masz, ZeUSie!), przebywać, wałęsać się, czytać poezję, a kiedyś w przyszłości — jako Muminek — oprowadzać też turystów. I pobierać emeryturę.

Co się więc wydarzyło podczas budowy, że takie wyszło? Bo bądźmy poważni, kto uwierzy, że to miało być szpiczaste?

Jest takie, gdyż...

„Bez kamieni nie ma budulca. A bez budulca nie ma pałacu.

A bez pałacu... (chwila ciszy) Nie ma pałacu!” (Asterix i Cleopatra)

W trakcie tej epickiej budowy, źle policzono i zabrakło im budulca, a terminy gonią i krokodyły głodne. Wykazali się więc

kreatywnością! Zamiast stawiać wg klasycznego stylu budowlanki al'a lepianki (czyli w pionie), poszli po skosie i pod kątem — mniej budulca tu trzeba i kryć tego dachem nie trzeba, a drewno na pustyni, wiadomo, w cenie..

Po drodze kreatywni z działu marketingu wmówili Faraoffiemu, że tak jest modniej, na topie, prekursorsko, awangarda, na lata i to przyszłość architektury. I nie budujemy już z tektury.

FaraOff w końcu, przekonany, był na „On” (od tego czasu mówimy już „Faraon”), i tak odgwizdano sukces, wielokrotnie gdyż: budulca wystarczyło, terminy dotzymane, premia czyli brak przykrych — rzucenie krokodylom na pożarcie — kar umownych.

Normalnie, to dopiero byli Kreatyni!

Tak, tak, konstruowanie z klocków wciąga. I to do tego stopnia, że kiedy budowałem kolejną gwiazdno-wojenną Gwiazdę Śmierdzi, by nią zaatakować i zrównać z ziemią kilka planet oraz tysiące gatunków, żona musiała aż dwukrotnie chrząknąć, by sprowadzić mnie z tej przestrzeni kosmicznej na planetę Ziemia.

Spojrzała na mnie przeciągle, wzorkiem zaczepno-wyzwijającym, oblizała wymownie rozdziawione usta, uniosła pytając w stylu „działamy coś” brwi?

Zorientowałem się, że młodzież w wieku zęb mleczny już dawno śpi, jest ciemnonoc i jesteśmy tu sami... Jest misja do zrobienia.

I co ja na to? Pan tera?

Pantera? Będę!

Jak Ryba będę!

Jak Tomi Li Dżons w Ściganym będę!

W odpowiedzi uniosłem porozumiewawczo jedną brew: „Kobieto, potrzyмай Mi_piwo i patrz!”

Podniosłem się ruchem płynnej pantery, a kontynuując tę grę, wyciągnąłem portfel i pokazałem jej kasę.

Kiedy radośnie, porozumiewawczo i chyba też seksownie pokiwała energicznie głową, że aż jej się włosy w kreatyw-

nym — jak temu z Modern Talking — nieładzie rozwiały, nie czekałem dłużej. Krokiem sprężystym Różowej Pantery ruszyłem do sypialni.

A ona, po cichutku, poszła za mną.

Ostrożnie, żeby nie psuć naelektryzowanej od napięcia atmosfery, nie zniszczyć delikatnego, pełnego feromonów klimatu, no i nie obudzić młodych, otworzyłem drzwi.

Po cichu i ciemku wszedłem.

Na szczęście znam ten teren doskonale — sam skręcałem te, niczym z klocków, meble z ikeji. Znam tu każdy centymetr przestrzeni, oj, wiele razy w igraszkach lądowałem na tej tu podłodze.

Przemieszczam się niczym pantera śmieszna... Śnieżna! na polowaniu. Z lekka przegrabiony, łapą macam z przodu, głowa pod kątem, bo kątem oka widzi się w totalnej ciemności... dokładnie tak samo się widzi, ale za to nie przydzwonisz w nic nosem.

Mój cel, chociaż ciemno, jest jasny — łóżko. I już go, niczym siwo-czarno pantera, dopadam.

Teraz newralgiczna część, i... mam to. Udało się?
No ba, kobieto, musowo musiało się udać!

Z tryumfem, ale nadal cicho, odwracam się na pięcie, z lekka już rozluźniony. W ledwie co uchylonych drzwiach, przez prześwit w przytłumionym świetle, widzę filigranową figurę i filuternie filujące z podziwem oko, a ja teraz już śmiało kroczę przed siebie z rękami uniesionymi w geście zwycięstwa.

Nagle sprawy nabierają przyspieszenia, tempa dużego i wszystko zaczyna się dziać na raz. Gdy idę, nagle i niechcący wyrywa mi się rzeźkie:

— O KURWA!

...niczym ryk zranionej pantery...

A spod okolicznych kołder dobiega wielki chichot małych stóp, zaś z okolic drzwi słyszę łoskot zamykanego — niczym zmarnowane okno startowe w NASA — zawiedzionego oka.

Ech, nie zna bólu egzystencji ten, kto w misji zdobycia i z pod poduszki wydobywania zęba oraz podrzucenia kasy, kryp-

tonim akcji „Wruszek Zębuszek”, nie stanął po ciemku gołą nogą na plastikowym klocku.

— Pantera? — pytam płochliwie z jakąś, jeszcze tłącą się na gdzieś na dnie mego upadłego ego, nadzieją płonną.

— **Pantera? Hmm. Tak, pantera... pan tera dzieci uśpi... ponownie.**

Bajka bez morału, albo morał bez bajki¹



#szosopasta na 1276 słów, 7 minut czasu czytania

Do jednego prezesa dzwoni telefon:

— Czy jest pan zainteresowany usługami cyberbezpieczeństwa?

— Nie, panie, a po co mnie to? Ja tylko gram w pasjansa. Nie, senkju, ale jest mi to do niczego niepotrzebne.

— Rozumiem, ale na wypadek, gdyby zmienił pan zda-

¹ <https://szosami.com/2025/03/05/bajka-bez-moralu-albo-moral-bez-bajki/>

nie, to na pulpicie w pana komputerze zostawiłem swoją ofertę.

Jedno z mojej Młodzieży, dziękując mi za to, co kiedyś było dąsem, fochem i obrazą „do końca życia” w tym tygodniu, powiedziało mi ostatnio:

— Tato, napisz o tym, może komuś się w końcu na coś przyda to twoje pisanie.

Dobra, skoro mam dyspensę, to napiszę. A może w końcu się przyda. Napiszę o tym, że nie zamieszczam informacji i zdjęć swojej rodziny w internecie...

Ok, ok, może raz czy dwa się zdarzyło, lecz niech rzuci kamieniem ten, co po pijaku nie zrobił czegoś głupiego!

W dodatku wcale nie jestem pewien (pijany byłem), czy to na pewno była moja rodzina na tych zdjęciach, więc wypraszam sobie jakiegokolwiek zarzuty i pomówienia. Nie pokazuję, nie przekazuję, nie upubliczniam i jak mogę — unikam.

A jak nie mogę, to też. Sam tego nie robię i dawno temu, jak ludzie rzucali kamieniami w dinozaury (to wtedy ktoś powiedział, że „640 KB powinno wystarczyć każdemu”), a ja miałem jeszcze na tyle autorytetu, żeby się nie bać o skutek, a Młodzież była na tyle mała, żeby się bać mego gniewu — захищаłem tego również moim dzieciom.

Jak do tego doszło?

O tak: otworzyłem drzwi do otwartego salonu i ryknąłem:

— Porzućcie wszelkie zajęcia, które tam wykonujecie! Zostawcie wynoszenie śmieci pod piec, otwieranie ojcu kolejnego piwa, pieczenie zwędzonych z piekarni skórek chleba i obieranie przejechanej na rosół kury! Chodźcie no tu, bo mam niusa!

Kiedy już wszystkie się zbiegły i postawiłem je przed sobą na baczność, wszedłem na zydeł, wzmocniłem głos do Podwójnego Ryku Lwa (ale nie po to, żeby się bardziej bały, tylko żeby wszystkie słyszały) i prawilem im, wymachując rękami niczym Skarga na kazaniu:

— Słuchajta! Póki nie będzieta pełnoletnie, nakazuje się brak upubliczniania w internecie swoich, znaczy się waszych, zdjęć! Dopóki nie będzieta na tyle duże, żeby wiedzieć, co ro-

bita, zamieszczanie, upublicznianie, przekazywanie i kopiowanie — bez wyraźnej zgody na piśmie i od notariusza — jest zakazane i szlusz!

Już, zaraz, spokój! Ej tam, w ósmym rzędzie, dwudzieste piąte po prawej, widzę ten język! A ja ze swej strony obiecuję wam — a dobrze wiecie, że nikt wam tyle nie da, ile ja wam mogę obiecać — iż i ja tego robił nie będę!

Może poza tym, że od czasu do czasu wrzucę swoje, ale to w ramach promocji i szukania lepszej pracy, żeby was jakoś utrzymać przy życiu, póki nie zaczniecie spłacać tych oto paragonów, które skrzętnie na was zbieram, darmożady!

— Ale nigdy? — przez lament i łzy dało się słyszeć ciche pytanie najodważniejszego, bo odległego śmiałka, co wiedział, że zdąży zdupcyć do mamy, zanim go dopadnę.

— Nigdy!

— Ale nigdy, przenigdy, przeprzenigdy, przez cały tydzień!?

— Nigdy, aż będzieta duże jedno z drugim.

— Na litości, Panie i Ciemierzycielu w Sprzątaniu, Opłaczchu Rachunków, Regulatorze Haseł Wi-Fi, Naprawiaczu Gniazdek Domowych i Elektrycznych, Bankomacie Bezdenny i Kierowco Urodzinowych Tras Powrotnych! To potworne!

Gdzie będą nasze kontakty z rówieśnikami, gdzie utracona szansa na influenserkę i jedyna szansa na zostanie bogatym? Kto nas będzie polubił, kto zazdrościł wakacji, skąd weźmiemy licznych znajomych?

Tak bez zdjęć w pozach różnych, fikuśnych selfie podróżnych i innych z wakacji zdjęciowych przekazów?!

Udałem, że się zdumiałem. Chwilę grałem, że dumałem, i tak ich zapytałem:

— A widzieliśta kiedyś waszą babcię, jak lata z albumem zdjęciowym po mieście i pokazuje jak jaka głupia zdjęcia swojej rodziny przypadkowo spotkanym osobom?

— Nie! Ale to nie znaczy, że tego nie robiła!

O, ten to będzie politykiem...

— Zapewniam, że nie tego robiła, gdyż mądrą jest osobą a ludzie mają to w dupie, poza tymi którzy są niecni.

- A co to znaczy „niecni”? — zapytało któreś
- Lekcję odrobił gówniarzu? — to zawsze działa.

I wstrzymało to lawinę błagań i łkań. Jedno nawet na chwilę zaniechało pisanie listu z interwencją u Prezydenta. Zaczęła się burzliwa narada, trzaskanie drzwiami, niecelne do kosza rzucanie chustek ze smarkami, rysowanie jakichś wykresów, chodzenie do mamy, wracanie z podskokach, próby z laurkami, oddawanie przykitranego pilota do tv i wyprowadzanie na spacer kota. Nic to nie dało.

Pozostałem nieugięty.

Ale posłuchali co usłyszeli, usłuchali. I nie wrzucali. Gdyż, kiedy doszli jakoś do siebie, po północnych naradach, pogodzili się ze smutnym, acz prawdziwym losem, gdyż dotarło do nich, iż ten ma władzę, kto płaci za internet.

I że lepiej nie fikać do gościa, który decyduje o wymianie smartfonów na nowe oraz wypłaca (liche, bo liche, ale regularne) kieszonkowe.

A po jakimś czasie, kiedy pierwszy szok minął, przeszedłem do drugiego kroku:

— Zbierzcie się tu, dziadki... Nie, dziadek — ty nie! Chodźcie, a żwawo, gdyż przekazać wam coś chcę. Siadźcie wygodnie na dywanie, to może, po tym, co wam powiem, i jak was zemdli, nic wam się nie stanie. Przechodzimy do drugiego etapu opresji, represji, reperkusji i świata reparacji.

Otóż od dzisiaj nie wolno w internecie podawać swoich prawdziwych danych i nigdy nikomu tam wierzyć, choćby przysięgał na grę Mario Bros, Pokemony i Teamsy oraz pokazywał zaplecione paluszki w przysiędze. Nigdy, aż dorosnięcie na tyle, żeby zrozumieć dlaczego. Przenigdy nie podajcie, skąd jesteście, ile macie lat, jak się nazywacie i dlaczego nasz mercedes jest lepszy od ichniego. I tak ma być.

Kapiszczi jeden z drugim?

Lament był mniejszy, bo to zima była i wiedzieli, kto płaci rachunki za ogrzewanie oraz kto może zaraz pójść odśnieżać podjazd, jak się ojciec wkurwi. Ale, ale... dzieciom nie można wydawać rozkazów bez uzasadnienia i siłowo,

więc w celu dodania wagi moim słowom opowiedziałem im bajkę.

Drogie dzieci (i to, kur... dwa, dosłownie) — Tu rozległ się chichot zrozumienia dla mojego uszczuplonego mienia (to był dzień wypłat dziaderskich kieszonkowych).

UWAGA Bajka dla krnąbrnych dzieci: Za górami, za lasami, kiedy ojciec, czyli ja, robił tam gdzieś jako drwal na akord, to wasz uzdolniony inaczej tata, czyli ja, miał kolegę — normalnego i bardzo uzdolnionego w komputery huncwota, co w dzień spał, bo w nocy nie spał.

Gdyż albo kodował albo surfował.

Mieszkał on w jakiejś dziupli, bez ogrzewania ale rozgrzanej do czerwoności od pracujących na wysokich obrotach komputerowych wentylatorów, śmierdzącej pastami chłodzącymi do procesorów, pełnej śrubokrętów Torx, kieszeni na dyski, kabli RJ-45 i plakatów z Samantą Fox.

W jaskini, gdzie muzyka — jeśli tak można nazwać włączony na full black metal, Sepulturę i Slipknota — dudniła nieprzerwanie, a pod ścianą walały się wory z wykopanymi bitcoinami, butelkami po coli i tajgerze, a podłoga u niego z pudełek po pizzie była wykonana.

I kiedyś, kiedy utyranym, z siekierą przerzuconą luźno przez ramię, przechodziłem obok tej jego gawry. Schyliwszy się uprzednio, żeby nie zostać zdekapitowanym przez kable zasilające podpięte „na lewo” pod pobliski Urząd Skarbowy, zobaczył on mnie i mówi:

— O, cześć, Mi_. Słuchaj, czy mogę sobie pożyczyć twoją kolekcję MP3 Dead Can Dance, oraz terabajty innego badziewia co sobie ściągałeś ostatnio torrentami na swój Pecet?

— Pewnie, skoro twoje karty graficzne i pasma szerokiego, superszybkiego Internetu są tak zajęte ściągnięciem pornoli, to jasne, że tak. Idę właśnie do domu i zaraz ci udostępnię...

— A nie, nie trzeba, przecież masz kompa podpiętego do sieci, nie chciałem cię fatygować i już je sobie sam od ciebie z dysku ściągnąłem. Tak tylko pytam, bo jesteśmy kumple i przecież chyba wypada... zapytać. Mama tak uczyła, że wypada.

Tak drogie w cholerę dziadki. Mam na was paragony, i skoro to było dawno, dawno temu, to pomyślcie sobie co można zrobić teraz.

I urosłem nagle jak Gandalf we Władcy Pierścieni, dodałem mocy i potęgi memu głosowi by przekaz był jasny jak w me-
mach: Nie łudźcie się, że was haker nie dopadnie, jak będzie chciał — dlatego to, co prywatne, niech zostaje prywatne — bo to nie była bajka.

W inne bajki sobie wiercie, ale nie w takie, że jest coś bezpiecznego i prywatnego w sieci.

Katana¹



#szosopasta na 1137 słów, 6 minut czasu czytania

*„Czyś ty wybranka punka,
czyś ty dziewczyna skina,
najważniejsza, najważniejsza jest rodzina.
Czyś ty skinheada stryj,
czyś ty punkowy wuj, najważniejsi matka twa
i ojciec twój.
Czyś ty jest ojciec punk,
czyś ty małżonek skin,
w życiu liczą się tylko żona, córka i syn.”*

¹ <https://szosami.com/2025/03/23/katana/>

Katana to taka z (ale nie zawsze) džinsu kurtka krótka. Obiekt westchnień młodych lat. Wtedy nosiły ją (wymalowaną farbami, czasem bez rękawów, zarzuconą na skórę i takie tam) złrokezowane Punki. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam teraz.

Katana to także samurajski miecz (miecz jak u rycerza, niby szpada typu szabla, ale nie rapier) i jeden z najważniejszych symboli bushido, reprezentujący: honor, lojalność i odwagę. Wiara w tętno duszy w mieczu katany sprawia, że jest ona postrzegana jako przedłużenie samurajskiego wojownika.

Mniej więcej o tym Akira Kurosawa nakręcił w 1954 film, powszechnie uznawany za jeden z najważniejszych w historii kinematografii. Często określany jako najlepszy film nieamerykański, będący inspiracją dla setek produkowanych później filmów akcji.

Ba, sam Kevin „Bodyguard”, ochroniarz Whitney Huston, widział „Siedmiu samurajów” (jap. 七人の侍), bo to o tym filmie mowa, chyba z 700 razy, a co najmniej 56.

Akcja 七人の侍 toczy się w okresie Sengoku i przedstawia grupę rolników, którzy zatrudniają siedmiu bezpańskich samurajów (rōninów), aby pomogli im w obronie wioski przed bandytami. Panowie Samurajowie przybywają ze swoimi wiernymi katanami (lecz nie w katanach, tylko w kimonach) i robią porządek z chuliganami.

„Siedmiu Samurajów” to jeden z niewielu japońskich filmów znanych szeroko na Zachodzie i doczekał się wielu remake’ów, ot, na przykład western „Siedmiu wspaniałych” z 1960. Western, w którym siedmiu zajebistych rewolwerowców, niepoprawnych zabijaków, fachowców w pracy stałą i kulą, z powodów nawet im samym nie do końca znanych, decyduje się pomóc wiosce „zwykłych” ludzi. Pomóc w walce z agresorem, adwersarzem, przeciwnikiem i oponentem.

W porywie dziwnych uczuć i emocji, z powodu jakiejś empatycznej gorączki — gdyż za skromne wynagrodzenie zdecydowanie poniżej ich kwalifikacji — idą walczyć z żądnym krwi,

pozbawionym skrupułów i moralności Przywódcą Bandy Oprychów, mającym do pomocy bandę oprychów.

Siedmiu zawodowców plus garść amatorskich cywilów z cepami to dość niewiele przeciw okrzepniętym w boju złoczyńcom, co silnie nastawieni na zysk ekonomiczny oraz zadawanie emocjonalnego, psychicznego i fizycznego bólu są. Ale podjęli się tego zadania, gdyż cóż... czasem po prostu tak trzeba.

„Siedmiu” nie wiedzieli zbyt wiele, kształceni nie byli, w dodatku dobrzy też nie byli, a i tak co należy — zrobili. Wstali, wsiedli, pojechali, opór stawiali, odpór dali, koniec końców — i przy dużych stratach własnych — wygrali.

Ta, przeniesiona na Dzikie Zachód, historia ze Wschodu jest uniwersalna. I myślę, że sprawdziłaby się nawet gdzieś w centralnej części mapy (patrzac na nią z naszej perspektywy), i to w dodatku na co dzień.

Mój ojciec najbardziej lubił westerny, a z nich ten o „Siedmiu wspaniałych” upodobał sobie szczególnie. Dlatego, kiedy w kinach pojawiła się współczesna wersja tego starego filmu, ja również — w porywie bliżej niesprecyzowanej emocji — poszedłem i zaoczyłem tę nowoczesną wersję.

Byli tam komboje, Indianin, dobro i zło, oraz Denzel — i dużo się działo. Opierdolenie wpierdalających obok przykitrane chipsy to była betka przy tym, co na ekranie.

Wzruszyłem się straszliwie i — czy to z powodu wzruszenia, nostalgii może, albo wypitego alkoholu, nie wiem — ale nagle chciałem być, chociaż przez chwilę, jak Oni! Nie, nie ci od chipsów. Lajk Magnificent Seven, tu bi!

Tylko co tu zrobić, by się upodobnić?

W kapeluszu wyglądam do dupy, colta noszę w kaburze pod marynarką, konno do domu nie wjadę, bo się do windy nie zmieścimy...

Wiem!

W szale wzruszeń — to dla Ciebie, Ojczy — poszedłem do fryzjera i zrobiłem się na irokeza. Indianin ze mnie słaby, nie mam tipi, toporka ani konia, więc w „irokezowaniu” po-

przestałem na fryzurze. Bo „Irokez” to taki Indianin, ale i fryz.

JPRDL, jak już mi przeszło wzruszeń uniesienie i zobaczyłem, co zrobiłem (nigdy nie chodź po pijaku do fryzjera!), stwierdziłem, że o fak... no dobra... trudno. Biorę na klatę i lepiej, niech będzie tak, niż golić to do gołej czachy.

Słowo — koniec z goleniem czachy!

I miałem przez jakiś czas na głowie fryz ala irokez. Gustownie, kurwa, siwy. Chwilowo pozostaje jakoś żyć i czekać, aż to odrośnie, oraz cieszyć się, że nie zacząłem chodzić w katanie z kataną.

Chodzę, oddycham, zapuszczam poboczne włosy, a pewnego dnia przychodzi do mnie syn. Doprecyzuję, gdyż różni się tu kręcią — mój.

Przychodzi i mówi, że miał na lekcji rozwiązać krzyżówkę historyczną. Dostał ksero z hasłami i rubryczkami do wpisania, ołówek w dłoń. I... czas, start!

Ruszyła umysłu maszyna ospale. Ale, żeby nie wiem jak system wyteżał, i jak bardzo się on tam sprężał, to nie udźwignął, taki to był wiedzy zajebisty ciężar.

Cały w nerwach, bo od ręki zna hasło (inteligentny to on jest — ale wiadomo, inteligencję dziedziczy się po mamie), za to z poszczególnymi odpowiedziami już gorzej. Co zrobić młody człowiek ma, jak wpisać hasło, które zna, jeśli nie wypełnił całej reszty krzyżówki z powodu pytań, na które odpowiedzi nie zna?

Można to sobie zwizualizować: pot z czoła leci, ołówek do połowy obgryziony, ze zmartwiałych palców leci — i nic, zero, null, kosmiczna pustka przetykana czarnymi dziurami niewiedzy. Z głowy na papier nic leci, chyba więcej już nie skleci.

Wikipedia umysłowa padła od przeciążonych serwerów i już się nie podniosła. Cholera no, jest przecież hasło!

Na wyciągnięcie ręki jest, ale musi być wypełniona cała krzyżówka, bo jak inaczej?

Resety synapsowych systemów się przeciągają, czas kończy, zagłada wielkimi krokami od czoła klasy już się zbliża, więc rzutem na taśmę, w ostatniej „wencie” (wenta to taka miara czasu z piłki ręcznej), wpisał: 8 poziomo: „srutututu”

11 pionowo: „tralalala”

I jest całość — jakoś wypełniona!

Brawo, Ja! Kto jest mistrzem?

I może się pani nie kapnie — w końcu „na koniec dnia” chodzi przecież o hasło.

Oddał krzyżówkę, pani sprawdziła i mówi: — Chłopcze, czy ty stroisz sobie ze mnie żarty? Co to ma być? Jutro przyjdiesz z rodzicem!

Jednak się kapnęła. A że rodzica ma... cóż, między innymi, to ja.

Po wyjaśnieniu mi całego zajścia, przedstawieniu dowodów (materiały w archiwum)...

Jak już się okazało, że jednak dobrze słyszę, kiedy wrócił mi zmysł mowy i jakoś nie umarłem od wewnętrznego śmiechu, zadumałem się nad katanami, wojownikami, samurajami, irokezami, bushido, honorem, lojalnością i odwagą.

A po dłuższej tej zadumie mówię: — Dobra, synu. Może nie jest nas siedmiu wspaniałych, ale jesteśmy w jednej drużynie i należy się trzymać razem. Mimo że nie mam w tym żadnego interesu, nie zostawię cię w biedzie, pomogę i pójdę do pani. Acha, i taka rada od bardziej doświadczonego chłopca: póki co, nie mów o tym mamie.

Nastało jutro. Poszliśmy do szkoły: On, Ja i mój Siwy Irokez.

— Dzień dobry, kazała pani przyjść, to jesteśmy.

Pani podniosła głowę znad biurka, patrzy na mnie, na syna...

Założyła binokle, zsynchronizowała ostrości, poprawiła dioptrie, akomodowała soczewki i jeszcze raz, na niego, i znów na mnie, tylko trochę jakby wyżej — chyba na przesłonięty włosami sufit ponad moją głową — i mówi:

— Aha. No tak. Wszystko jasne... To jak tak, to już nic.

Uff, nawet gładko nam poszło, niczym cięcie... kataną.

Rzucam, porzucam, wyrzucam¹



Bieszczady
N49°12'47.44764" E22°19'41.99628"

#szosopasta na 459 słów, 2 minuty czasu czytania

Mamihlapinatapai to w języku jagańskim, którym posługuje się nomadyczne plemię z Ziemi Ognistej, oznacza ugrzęźłe Spojrzenie między osobami, które czekają, aż inni zainicjują działanie, którego wszyscy pragną, lecz żadna nie ma śmiałości zacząć.

Dlatego... Rzucam!

¹ <https://szosami.com/2024/12/21/rzucam-porzucam-wyrzucam/>

Za oknem pogoda pod psem, a nowy rok za pasem. Znów rzucanie palenia (to bardzo łatwe, znam takich co robili to tysiące razy!).

Zrzucanie nadmiarowych centymetrów (prościzna, może i za gruby grosz w wyspecjalizowanych centrach, ale za to przystosowanych do Specjalnej Klienteli gdzie mają Miesięczne Karnety Noworoczne do wykupienia na tydzień, dwa, lub trzy dni, zależnie od postanowień i zapachu).

Rzucanie się na zaległe książki ze Stosu Wstydu (ale Super Kupa wyszła, tyle się tego uskładało, że ładowarka do smartfону idealnie na podorędziu stoi. No dobra, szkoda psuć, zacznę od tej nowej co ją jutro kupię! I tak codziennie), oraz rzucanie się na inne, Corocznie Nowe Takie Same Postanowienia...

Rzucanie mięsa, i mięsem zaprzestanie rzucania...

Pieprzyć!

„Zerwijmy z tym chwiejnym balansowaniem na krawędzi egzystencjalizmu i wegetarianizmu”. Może zwyczajnie zrobić to o czym wszyscy marzą, ale nie ma kto zacząć „Rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady”?

E tam... Bieszczado-Bzdury, i co to za „rzucanie”?

Nawet dobrze oleju w silniku nie rozgrzejesz, dwa zakręty, jedna prosta, zdjęcie za prędkość i po trasie. „Rzuciłeś” wszystko, dojeżdżasz a tam, gdzie okiem nie rzucisz, pełno ludzi, pełen zasięg 3G i można płacić blikiem!

Czyż stukrotnie nie lepiej wziąć swoje wierne auto, naprawdę wszystko porzucić, do telefonu „adieu” rzucić, przez okno go potem wyrzucić, ciuch byle jaki zarzucić, i na ząb coś „na szybko” wrzucić?

I nawet się nie wzruszyć, w rzuci świat mieć, i ruszyć!

Przed siebie, w dal wyruszyć, a potem jechać, buty zzuć, gumę żuć, i jechać, jechać aż po kres czasu, przestrzeni, grawitacji, lądów. Zostawiając to wszystko za sobą, bocznymi drogami, nieśpiesznie nie ściągać się, a zagubić, zatrzymywać od chcenia lub niechcenia — jak chcesz gdzie chcesz. W małych miasteczkach na kawę, czy w przydrożnym lesie w trawie... chwilę trwać, trwać!

Nocować u dobrych ludzi, dysputy z nimi — w językach doskonale nieznanych — prowadzić, a potem ich zostawić. Pojechać, poznawać świat, te krainy cudzoziemskie, ich kultur zażywać, a potraw smakować! Się w Tuniebyciu rozsmakować.

Rzucić się w ten świat rozległy, nam równoległy i nie zajmować więcej się, prostaków politykierstwem, przyziemnym po ziemi do pracy chodzeniem co rozczłapuje nam życie na bruku. Przecież dano nam jeno jedno!

Jak błyskawica błyskawicznie przemyka i znika, przespane, przespane, między palcami niczym ten piach przesypany. Tak! Zdecydowałem! Nie mam na co czekać!

Teraz, natychmiast, już... Rzucam, wyrzucam, wrzucam, zarzucam i nic mnie już nie rusza, gdyż ruszam!

— Żono, postanowiłem. Bez zbędnych uniesień i wzruszeń. Rzucam wszystko i w świat wyruszam. Wiedz, że będę podróżował aż się Mi_pieniądze skończą!

— Acha, czyli na kolację będziesz z powrotem... Mleko kup jak będziesz wracał.

c z y c.d.n?

Czy ciąg dalszy nastąpi? Jeśliś na „tak”, daj jakiś znak.

Póki co, dziękuję za poświęcony czas.

Ta praca (w wersji elektronicznej) udostępniona jest za darmo, jeśli jednak spodobała ci się aż tak, że nie możesz tego zdzierżyć i chciałbyś ją docenić bardziej, to jest sposób! Możesz postawić Mi _wirtualną kawę¹.



Paweł Mi

¹ <https://buycoffee.to/pawelmi>

Paweł „Szosa” Mi to autor, który nie boi się poruszać trudnych tematów, równocześnie serwując czytelnikowi dawkę lekkiego humoru. Jego #szosopasty to zabawa słowem, w której kryje się prawda o współczesnym świecie — przewrotna, zaskakująca i pełna ironii.

#Szosopasta to miniatunek literacki (który wymyśliłem na własne potrzeby), a „MiniHistorie 1½” to zbiór takich właśnie krótkich i lekkich #szosopast — opowiadań w stylu cypypast. Często absurdalnych, zabawnych, ale zawsze zaskakujących. A dlaczego „SzosaMi”? Bo tworzonych przez Pawła Mi podczas podróży — na szosach — po to, by zatrzymać się na chwilę, odpocząć od codzienności, zrobić pauzę od tu i teraz i... odjechać. Książka jest przeznaczona dla osób pełnoletnich.



Rideró

Wydaj książkę
profesjonalnie!